Nr. 15. Lwów. — Piątek dnia 18 stycznia. Rok 1889.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową:
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miesięczna jak i kwartalna winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej nie przyjmuje się.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedozwoloną.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Walusga, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Pryski Panny. Jutro: Ferdynanda. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 52, Zachód „ 4 „ 29 | Długość dnia g. 8 m. 37, Przybyło dnia 3 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 17 stycznia.

Panslawiści, przebywający w różnych krajach słowiańskich i piszący w różnych językach, robią wielki hałas, widocznie jakiś kapitał kują ze znanego zatargu bułgarskiego rządu z bułgarskim synodem. Zapewniają tedy, że nie wiedzieć za co biskupów uwięziono, traktowano ich jak zbrodniarzy i wreszcie wywieziono nie wiadomo dokąd. A oni chyba tylko tem zawinili, że jako najwyżsi pasterze narodowej cerkwi, zebrawszy się na synod, będący zwierzchniczą i niezależną w cerkiewnych sprawach władzą, zajęli się z ciężką troską na sercu pytaniem: co począć z katolicką propagandą, która się zuchwale szerzy po kraju, korzystając z gorliwej opieki katolickiego księcia? Ojcowie Zmartwychwstania Pańskiego rzucili już silne podwaliny pod kościół unicki. Mniszki katolickie zakładają prywatne szkoły, z których dziewczęta wychodzą gorliwemi katoliczkami i potem w rodziny wnoszą religijne rozdwojenie, kończące się zwykle zerwaniem wszystkich w tej rodzinie z prawosławiem. W Sofji niebawem powstanie prywatne gimnazjum za funduszę, a będzie ono otoczone wszelkiemi pozorami naukowego blasku i nęcących wygód. We wszystkich większych miastach już są katolickie konwikta. Słowem, katolicyzm rzucił się na młodzież i jeśli dalej tak potrwa, to za dwa pokolenia cała Bułgarja przylgnie do zachodniego Kościoła, którego w różnych miastach zbudowane świątynie już teraz są pełne, kiedy niedawno jeszcze katolików w Bułgarji można było policzyć na palcach.

Tak skarżą się panslawiści i pytają: „Cóż było złego, że pasterze prawosławnej cerkwi zajęli się tą sprawą, radzili nad nią, układali plan obrony? Przecie to było ich obowiązkiem, a jednak uwięziono ich i wywieziono nie wiadomo dokąd!"

Trwa ten ha ha już od kilku dni, aleśmy o nim, oprócz krótkiej wzmianki, nic nie mówili, bo czuliśmy, że coś tu musi być nie tak. Najprzód my, siedzący na rubieży dwóch kościołów, najlepiej wiemy, że wielkiej trzeba, a nie lada kilku, na zmianę narodowego Kościoła; wiemy dalej, że chłopskie społeczeństwa słowiańskie są tak mocno przywiązane do prawosławia, jak do katolicyzmu są przywiązane społeczeństwa, mające wrodzone popędy arystokratyczne, n. p. cały nasz naród, cały francuski lub hiszpański. Wreszcie wiedzieliśmy, że w Bułgarji są misje katolickie, całkiem legalne, bo konstytucja pozwala każdemu należeć do tego kościoła, który najlepiej odpowiada jego religijnym potrzebom, ale bezwarunkowo nie mogliśmy przypuścić, żeby te misje podejmowały drażniącą propagandę, lub żeby ks. Ferdynand narażał swe stanowisko walką z cerkwią, do której należy cały jego naród.

Dziś możemy odpowiedzieć na hałasy panslawistów, bośmy od Bułgara, ale nie od panslawisty, otrzymali następujące doniesienie:

„Trzej biskupi: warneński, tyrnowski i wracki mało się zajmują sprawami kościelnemi swych diecezyj, za to dużo polityką, są zwolennikami caratu, z krzyżami witali Kaulbarsa i dotąd nie raczyli uznać władzy ks. Ferdynanda. Ta ostatnia okoliczność przyczyniła się nie mało do tego, że rządowi w różnych krytycznych chwilach sprawiali kłopoty, a książę przy każdej sposobności okazuje szacunek dla prawosławnej cerkwi i jej kleru, na wszystkich uroczystych nabożeństwach zawsze jest w katedrze w pełnej gali i nieraz z własnej kieszeni daje pieniądze na potrzeby cerkiewne. Ale takie zachowanie się jego nie rozbroiło politykujących biskupów. Kiedy synod się zebrał, minister wyznań zażądał uchwały, że we wszystkich bez wyjątku bułgarskich cerkwiach muszą podczas molebnów wspominać panującego księcia. Na to synod pod naciskiem owych trzech biskupów odpowiedział, że według kanonicznych przepisów nie wolno w prawosławnej cerkwi odprawiać ani *Te Deum*, ani *Requiem*, ani żadnych innych modłów za innowierców. Przy tej sposobności synod zaprotestował przeciw święceniu dnia imienin ks. Ferdynanda i jego matki księżny Klementyny. Minister zwrócił wówczas uwagę synodu na to, że przecież w bułgarskich cerkwiach zawsze modlono się za sułtana i jego cały dom, za jego wezyrów, nawet za jego żony. Biskupi odrzekli, że to było czynione pod silnym przymusem i nie przez nich osobiście, więc z tego nie mogą wnioskować, co im się potrzeba; dla nich są tylko przepisy kanoniczne. Natenczas minister znów zapytał, dla czego w takim razie odprawiali modły na uroczystości za ks. Al. Battenberga, który wyznaje protestantyzm? Biskupi tym razem wcale się nie odezwali, lecz uchwalili: podczas Jordanu wspólnie, jako cały synod, odśpiewać *Te Deum* za cara i Rosję, a nie wspomnieć ani słówkiem o księciu Ferdynandzie. Gdy o tem rząd się dowiedział, zebrała się rada ministrów i uchwaliła rozpędzić synod w taki sposób, żeby oporni biskupi pozbyli się władzy. Więc 11-go stycznia w nocy żandarmami otoczono pałac metropolity, gdzie mieszkali członkowie synodu, zbudzono trzech opornych biskupów, posadzono ich do trzech kabrjoletów i pod eskortą żandarmską zawieziono każdego do jego diecezji i internowano w jego własnem mieszkaniu. Opozycja Karawełowa i Radosławowa chciała ten wypadek wyzyskać przeciw rządowi, ale ludność stanęła po stronie gabinetu, Stambułowowi urządzono manifestację, a Filippopol, skoro się o tem dowiedział, przysłał do księcia deputację z prośbą, aby go zaszczycił swemi odwiedzinami z matką. Książę przyrzekł przybyć do Filippopola na parę tygodni, skoro tylko księżna Klementyna wróci do Bułgarji, co się stanie zaraz po 15-ym b. m."

Z tej relacji wynika, że zatarg z synodem powstał bynajmniej nie z religijnych, ale wyłącznie z politycznych względów i to z takich, które nie mogą być tolerowane przez żaden rząd, choćby najpobłażliwszy. Wyobraźmy sobie, jakby w takim wypadku postąpił rząd z katolickimi biskupami; Kamczatka nie byłaby dla nich miejscem dość ciężkiego wygnania. Przecież właśnie teraz oddano w Petersburgu pod sąd i wtrącono do więzienia luterskiego pastora von Riektera za to jeno, że kilku prawosławnych zaprosił na Wieczerzę Pańską do kirchy i błagając Boga o błogosławieństwo, nie wyliczył całego panującego domu.

Na wniosek oportunisty Martin-Feuillée'go, francuski parlament przyjął inny system poboru rekruta. Dotąd tak się robiło, że co z popisowych wyciągnięto losem, to było wziętych do wojska wedle kontyngentu, reszta była zaliczana do rezerwy i w szeregach armji stałej nie służyła. Np. dajmy na to, że dla zapełnienia luki w armji trzeba rekrutów 100 tysięcy, a popisowych jest 120 tysięcy; to wszyscy, którzy wyciągnęli numera od 101,000 do 120,000 są wolni. Teraz zaś wszyscy popisowi będą służyli, tylko ci, z numerami niższemi, trzy lata, a z numerami wyższemi jeden rok. W skutek tego czynny stan armji podniesie się z 470,000 na 590,000. Sprawozdawca komisji budżetowej protestował przeciw temu, bo to zwiększy koszta utrzymania armji o 60 miljonów. Ale wniosek, poparty przez ministra wojny, przeszedł większością 412 głosów. Sprawozdawca komisji budżetowej major Labordère podał się do dymisji.

Nowoje Wremia w depeszy z Wiednia donosi takie *curiosum*: „Turcy powoli cofają się z sandżaku Nowobazarskiego, a wojska austrjackie powoli ten sandżak zajmują. Sułtan dobrowolnie oddaje Austrji piękną prowincję, a robi się to cichaczem, na mocy zawartej ugody." Po co ta pocieszna bajka? Oczywiście po to, aby łatwowierny tłum rosyjski poszczuć na Austrję.

Złote słowa Riegera.

Praga 15 stycznia.

Nie można czytać bez poważnego zamyślenia się i bez rozrzewnienia upomnień, które wypowiedział przewódzca Czechów Rieger przy sposobności zamknięcia roku klubu czeskiego w Pradze. Upomnienia te są niejako odpowiedzią na hołd jubileuszowy, złożony mu przez naród, a zarazem jakby testament polityczny przywódzcy narodu. Jeżeli podobne głosy podnoszone nieraz u nas przez ludzi wielkich zasług i powagi bywają ogłaszane jakoby za zjawiska możliwe i twórcze, to niechże liczna rzesza głośnych t. z. politykomanów naszych rozważy co mówi Rieger po kilkudziesięciu latach doświadczeń, a w chwili, gdy Czesi spoglądają z radością i dumą na wielkie powodzenia pracy swojej około dźwignięcia się narodu z upadku. Nie w nieszczęściu, ale właśnie w szczęściu należy w porę zastanawiać się, ocenić swe siły i rozpamiętywać. Wszystko to zawiera się w tych niezapomnianych słowach Riegera: „W życiu politycznem zależy wiele na tem — rzekł on — żeby naród umiał należycie mierzyć swoje siły, tak, żeby zawsze mógł znaleźć trafną miarę odwagi. Jest bowiem równie zgubnym zarówno zbytek, jak i brak odwagi. Naród może się rzucić w przedsięwzięcia, w których złamie swoję siłę, tak, że znowu potrzebował wieków, żeby przyjść do siebie. Bardzo wiele w tej mierze pouczających przykładów dostarcza historja naszego ludu. Jest to sobą właściwość nietylko naszego narodu, lecz w ogóle wszystkich Słowian, że fantazja często nad rozum bierze u nich górę. I u nas tak było.

„Po dłuższym dobrobycie następowały u nas katastrofy, których winę naród przeważnie sam sobie przypisywał, mianowicie dla tego, że nie miał należytej miary dla swej odwagi. Że przeceniał swe siły... Nie da się zaprzeczyć, żeśmy w ostatnich dziesiątkach lat znaczne uczynili postępy, lecz często ogarnia mnie powątpiewanie, czy dość jesteśmy ostrożni, czy nie popadniemy znowu w błędy naszych przodków i nie zostaniemy znowu odrzuceni. Napawa mnie to troską i pragnąłbym przyczynić się do tego, żebyśmy tego błędu uniknąć zdołali. Niebezpieczeństwo jest tem większe, że naród znowu powstający na nowo rodzi wątpliwości, czy wskutek posuniętego wzrostu nie stanie się zbyt trwożliwym. Nie wiem, co już sam o tem myśli; żebyśmy tylko przez ostrożność i umiarkowanie wolność zdobyli. Nie wiem jednak, czy naród wytrwa przy tym kierunku. Nie można o tem rodzić zawahań. Mocno przeto i to wskazuje, żebyśmy zaufania, które nam naród okazał, nie zawiedli. Wielka to odpowiedzialność, i że muszę mieć świadomość tego, iżby nie ściągnąć nieszczęścia na naród a winy na siebie. W tej mierze przychodzi mi na myśl następna deklaracja.

„Gdym ją pisał, zostałem z zapałem przyjęty przez cały naród jak nasze wyznanie wiary, jako palladium wszystkich wolności i zdobyczy politycznych. Po niejakim czasie odezwały się głosy ludzi bardzo światłych, że tą deklaracją popełniono wielki błąd. Gdy za pośrednictwem tego ... rozumie, że przywódzcy powinni byli to lepiej rozumieć. Teraz ... wielka ... młodzi ... poszli, ... nam ... mieć. ... wolność, ... bardzo, ... żeśmy to lepiej powinni byli rozumieć. My mamy większość, a więc i odpowiedzialność, a gdy tak jest, to z większości naszej tylko bardzo ostrożnie możemy robić użytek. Proszę, żebyście nas zawsze wiernie w tem usiłowaniu popierali, ażeby naród nie został wepchnięty na zgubne bezdroża..."

Są to złote słowa, godne, żeby stały w nowożytnym Plutarchu — a każdy światły czytelnik pojmie, że są one i dla nas aktualne i do nas żywcem prawie się stosują.

Zmiana konstytucji w Stanach Zjednoczonych.

W Stanach Zjednoczonych stanęła na porządku dziennym bardzo ważna dla tego kraju kwestja konstytucyjna, poruszana już nieraz przez wybitne między Yankesami umysły, ale poruszana z katedry. Teraz wniesiono ją do senatu i równocześnie poruszono nią wszystkich prawodawców w Stanach. Członek senatu Springer zaproponował taką zmianę konstytucji, aby prezydent był wybierany nie na cztery, jak było od wieku, ale na sześć lat i żeby powtórny wybór prezydenta na nową kadencją był konstytucyjnie zakazany.

W motywach tego wniosku powiedziano bardzo słusznie, że czteroletnie rządy prezydenta przedstawiają liczne niedogodności. W pierwszym roku urzędowania dostojnik ten zaledwie zdoła do spraw się wżyć; w drugim układa po swojemu całą maszynę administracyjną; w trzecim naprawdę zaczyna rządzić; a w czwartym już żaden urzędnik nie słucha go, lecz stara się zaskarbić sobie względy tego kandydata na urząd prezydenta, którego uważa za przyszłego zwierzchnika, bo trzeba wiedzieć, że według amerykańskiego zwyczaju, ze zmianą prezydenta zmieniają się prawie wszyscy państwowi urzędnicy; dobiera ich sobie prezydent, jak chce, mając pod tym względem władzę nieograniczoną. Oprócz tej niedogodności czteroletnich rządów, jest jeszcze inna, a zdaniem senatora Springera bardzo ważna. Oto, dostrzegł on, że każdy nowy wybór wywołuje coraz namiętniejszą walkę. Wybory Washingtona, Franklina, Lincolna przechodziły bez żadnych zatargów, cicho, spokojnie, tak rozważnie, jak właśnie chciał ów idealista, który mniemał, że system wszelkiej władzy z wyborów stworzy raj na ziemi. Późniejsze wybory odbywały się z coraz większą namiętnością i wreszcie przy ostatnich zapanował na kilka miesięcy chaos, powstała wrzawa, waśni, rodziny się poskłóciły na śmierć, handel i przemysł zamarł, popełniono tysiące morderstw i tysiące samobójstw. Otóż senator Springer pragnie, aby przez takie wstrząśnienie kraj przechodził rzadziej, nie co cztery, ale co sześć lat.

Lecz mieszkając w Białym Domu sześć lat prezydent tak się może rozsmakować we władzy, że dłuższe zostawienie go na urzędzie byłoby niebezpieczne dla wolności; prezydent mógłby stworzyć własne potężne stronnictwo, jakąś kamarylę i dążyć do dyktatury, może do cesarstwa. Zatem powtórny wybór prezydenta ma być zasadniczo uznany za niemożliwy.

Taki jest wniosek i takie motywa republikańskiego stronnictwa, które znaną czytelnikom naszym intą z angielskim ambasadorem, lordem Sackville'm, zdołało obalić demokratycznego prezydenta Clevelanda z jego obozem i znowu stanąć u steru. Powstaje jednak pytanie: dla czego ten wniosek jest pierwszym, z jakim wystąpili republikanie, kiedy go dotąd, ilekroć był postawiony przez demokratów i przez Clevelanda, energicznie zwalczali, głosząc, że to jest zbrodniczy zamach na testament ojców amerykańskiej wolności, czyn świętokradzki względem Mayflower'ów, t. j. owych pierwszych emigrantów, purytanów, którzy od religijnych prześladowań uciekli z Anglji do Holandji, a stamtąd na małym statku „Mayflower" do Ameryki i tu rzucili pierwsze podwaliny pod teraźniejszy gmach Stanów Zjednoczonych i sami się stali protoplastami oryginalnej amerykańskiej arystokracji.

Na to pytanie odpowiedź daje Claudio Jannet, znany badacz amerykańskich stosunków, autor kilku głośnych dzieł o Stanach Zjednoczonych. Po ostatnich wyborach zwiedził on znowu tę republikę i tak o niej pisze:

„W roku 1884 zwyciężyło nareszcie po dwudziestoletnich porażkach stronnictwo demokratyczne i nastała era rządów Clevelanda. Rządy te starały się ukrócić dawne nadużycia, naprawić złe, trzymać się uczciwszych zasad i uczciwszej taktyki i jeśli demokraci teraz znowu przegrali, to właśnie tylko dzięki tej uczciwości i dzięki temu, iż pragnęli zerwać z dawną metodą, korupcją wyborczą i administracyjną.

Ale jeśli wogóle, dzięki czteroletnim rządom demokratycznym, ogólny stan polityczny nieco się polepszył, natomiast stosunek kapitału do pracy zaostrzył się bardzo. W ciągu ostatniego ćwierć wieku nastąpił olbrzymi przewrót ekonomiczny. Do wojny secesyjnej (1861) Stany Zjednoczone były krajem przeważnie rolniczym i interesa plantatorów oraz rolników brały tam górę nad interesami fabrykantów i robotników. Wojna secesyjna, wywołując potrzebę uformowania nowej armji, wytworzyła rodzaj nieznanego dotychczas przemysłu. Dzięki cłom więcej niż protekcyjnym i postępowi wynalazków, w których Amerykanie celują, przemysł ten nietylko wojnę przeżył, ale rozwinął się niesłychanie i rozrósł się na olbrzymią skalę. To też statystyka każdorocznie wykazuje wzmaganie się ludności przemysłowej i handlowej. Powstają nowe fabryki i miasta, a w okolicach przemysłowych ludność jest tak liczną jak w Niemczech (75 mieszkańców na jeden kilometr kwadratowy). Słowem — z wyjątkiem Stanów południowych i wschodnich — cała Ameryka północna jest obecnie wielkim krajem przemysłowym na wzór najbardziej w tym kierunku rozwiniętych państw Europy zachodniej.

Następstwa owej przemiany nie dały długo na siebie czekać. Świat przemysłowy Ameryki jest niezmiernie egoistyczny i mało okazuje współczucia dla robotników. Bardziej jeszcze niż w Europie przemysłowiec amerykański widzi w pracy tylko towar, płatny stosunkowo do podaży i popytu. Gdy potrzebuje, sypie złotem; w przeciwnym razie pozbywa się najlepszych i najzdolniejszych. Amerykanin dla reklamy i rozgłosu zdobędzie się czasem na jakąś wielką ofiarę lub fundację; ale to miłosierdzie domowe, codzienne, wymagające poświęcenia dla interesów tych, co cierpią i pracują, jest mu zgoła obce. Wobec pracodawców obojętnych i sobkowskich a robotników cierpiących, wybuch kwestyj socjalnych musiał niechybnie nastąpić. Przyśpiesza go także wpływ socjalistów niemieckich coraz bardziej do Ameryki napływających. Od lat piętnastu liczba zmów wzrasta olbrzymio. W jednem tylko czteroleciu (1882 1886) było ich 3903, a objęły 22.339 zakładów fabrycznych i 1,021.000 robotników. — Niekiedy przybierały one niesłychane rozmiary. Taką była np. w roku 1877 zmowa robotników kolei pensylwańskich, która rozszerzyła się także do dróg sąsiednich. Przez dwa tygodnie wszystkie pociągi przestały chodzić, mnóstwo dworców kolejowych spalono i armja federalna musiała formalnie zdobywać całe linje. W roku 1886 podobna zmowa wybuchła na linji Missouri Pacific. Pociągi towarowe nie chodziły cały miesiąc, a policja nie mogła wcale dać rady. Doszło też do tego, że utworzyła się prywatna kompanja (agencja Pinkerton), która za wynagrodzeniem dostarcza pracodawcom sił zbrojnych do uśmierzenia ruchów robotniczych. Pomysł iście amerykański!

Lecz takie prywatne armje, uzbrojone i utrzymywane przez przedsiębiorców na usługi kapitalistów, nie zdołają długo w rygorze utrzymać niezliczonych zastępów robotników, wyznających zasady demokratyczne i złączonych w Stowarzyszenia tak liczne, że naprzykład Związek Rycerzy pracy liczy miljon członków. Kościół katolicki — potęga olbrzymio rosnąca w Stanach Zjednoczonych — stoi po stronie robotników. Kardynał Gibbons uzyskał dla robotniczych związków papiezkie *tolerari posse*, odtąd też biskupi i kapłani katoliccy są moralnymi kierownikami robotniczego ruchu, który wprawdzie wyrywa się jeszcze niekiedy z rąk tym kierownikom, lecz co raz rzadziej, bo wpływ Kościoła co raz potężnieje, a demokracja amerykańska, będąca tem, czem w Europie mniej więcej jest konserwatyzm, zaczyna w tej organizacji poczuwać się do swej

---

7)

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myriela.

(Ciąg dalszy).

Radzca odprowadził panie do domu, pożegnał je w sieni, pocieszał jak umiał, i odszedł, zapowiedziawszy, że nazajutrz koło południa przyjdzie powiedzieć, o której będzie nabożeństwo i pogrzeb.

Wieść o śmierci doktora rozeszła się po mieście, nie zdołała jednak wszędzie przeniknąć; gdyż o godzinie jedenastej zatoczyła się przed dom kareta, a w niej wyfrakowany jegomość i dwie panie.

Lokaj zeskoczył z kozła i zadzwonił, po chwili stróż trochę wódką rozmarzony ukazał się w bramie.

Pan wyskoczył z karety i już podawał rękę jednej z dam, aby jej wysiąść dopomódz.

Stróż odezwał się ironicznie:

— Pewnie jaśnie państwo do doktora na bal? Szkoda fatygi, tu dziś żadnego balowania nie będzie... w oknach je ciemno.

— Co się stało?

— Co się miało stać. Rano był bal... bo doktór rano pomarł — a teraz już stoi w kościele. Trza zmówić wieczny odpoczynek i wracać zkąd się przyjechało.

Rozdział trzeci, w którym radzca dowodzi, że w największem zmartwieniu trzeba przedewszystkiem poznać stan interesów — i w którym pokazuje się także, że w kasie ogniotrwałej znajdują się niekiedy niespodzianki.

Radzca był punktualny jak zegarek. Gdy zapowiedział swoję wizytę o dwunastej, to można było być pewnym, że się o pięć minut nie spóźni, ani o pięć minut nie przyjdzie za wcześnie.

Stary Jakób, z oczami zapuchniętemi od płaczu, zdejmował futro z ramion radzcy.

— Nie ma go już, nie ma mego poczciwego paniska! — mówił z westchnieniem. — Cały ten dom wygląda jak pustkowie.

— Uspokój się Jakóbie, — odrzekł radzca,— wszystkich nas ten koniec czeka. Czy pan Józef jest?

— Gdzieżby miał być, wielmożny panie radzco! Siedzi jak odurzony, ani z nim mowy, ani rozmowy. Nie spał całą noc, nie rozbierał się, tylko chodził po sali, niby błędny. Rano przyniosłem herbatę, ani dotknął. Stoi jeszcze szklanka do tej pory, wystygła już całkiem.

— A panienki?

— Panienki jeszcze gorzej. Przez tę dobę połowę ich ubyło. Panna Malwina aż się rozchorowała od żalu i płaczu i leży biedaczka z obwiązaną głową. Panienka najmłodsza już mdlała dwa razy... jedna tylko panna Iza nie płacze, nie wyrzeka, ale i ta pobladła jak ściana. Nie daje się, ale ja widzę, że ledwie się trzyma na nogach, że najlżejszy wiaterek przewróciłby ją jak nic...

— Powiedźcie, mój Jakóbie, panu Józefowi, że ja przyszedłem i że się z nim pragnę zobaczyć.

— Ano, powiem, ma się rozumieć powiem. Niech wielmożny radzca wejdzie do salonu... proszę panicza i panienki. Nie posprzątane tu jeszcze, ale Bóg mi świadkiem, że w takiej żałości wszystko człowiekowi z ręki wypada i po prawdzie głowę straciłem całkiem.

Radzca wszedł do sali. W chwilę potem witał go młody Gerlich a niebawem nadeszła Iza z Ewcią.

— Jaki pan dobry, — zawołała ta ostatnia, wyciągając do niego drobne rączki, — jaki pan dobry dla nas! Czem odwdzięczymy się za tyle poświęcenia?

— Co tam! moja pani, co za poświęcenie?! Podobno panna Malwina chora?

— Istotnie zasłabła trochę — ale dowiedziawszy się, że pan przyszedł, przyjdzie tu zaraz. Chciałaby się zapytać o szczegóły jutrzejszej bolesnej ceremonji.

— Szczegóły... tak. O jedenastej nabożeństwo, a potem zaraz pogrzeb. Nie płaczcie panie, przecież to konieczne. Zaproszenia rozesłałem do wszystkich znajomych, nikt nie został pominięty. Zamówiłem karety. Przypuszczam, że będzie mnóstwo osób, bo nieboszczyka znało całe miasto. Już wiele wieńców przysłano do kościoła, a jutro będzie drugie tyle. Co to mówić, prawdziwa zasługa zawsze znajduje uznanie.

Pan Józef westchnął.

— No — mówił dalej radzca — ośmieliłbym się zwrócić uwagę...

— Czy brakuje czego?

— Nie; idzie o co innego. Trzeba otrząsnąć się trochę z przygnębienia i zająć się interesami.

— Ja nie mam głowy do tego.

— Hm... to źle. Nie dziwię się paniom, ale mężczyzna w najgorszych nawet okolicznościach nie powinien głowy tracić; przeciwnie, owszem zachowywać wszelką przytomność.

— Co pan radzca ma na myśli?

— Boże miłosierny! Życzliwość, nic więcej. Ojciec umarł, więc naturalną koleją rzeczy, całe brzemię interów spada na ciebie, panie Józefie. Stajesz się opiekunem sióstr, zastępcą ojca... masz o czem myśleć. Na szczęście opieka nie będzie bardzo trudna, bo ile sądzić mogę, nieboszczyk musiał zostawić grosz piękny, ale właśnie dla tego że zostawił, trzeba zaraz sprawdzić: co mianowicie, ile, gdzie ulokowane... trzeba papiery przejrzeć...

— Jeszcze nie pochowany, a my już mamy szukać pieniędzy? dzielić się jego dorobkiem?

— Idealizm! idealizm, moje panie. Kto mówi żeby się zaraz dzielić? kto taką myśl śmiałby podsuwać? Nie o działy tu chodzi, lecz o porządek, o bezpieczeństwo nawet.

— Nie rozumiem.

— Tak. Zanim spostrzeżecie państwo, może sobie kto przywłaszczyć.

— Kto? Jakób? Za tego człowieka ręczyć można, jego uczciwość...

— Zapewne; nie posądzam, uczciwości nie kwestjonuję, ale zawsze lepiej niedowierzać, aniżeli wierzyć zanadto. Można doznać zawodu. Znam wypadki.

— Jakób jest wzorem...

— Owszem, gotów jestem i to przyznać — ale co to szkodzi, panie Józefie, że przejrzysz papiery, obliczysz kasę... dla samego porządku.

— Możnaby i jutro.

— Dla czego jutro? Trzeba zaraz, nie zwłócząc. Taka jest moja rada. Będziecie wiedzieli przynajmniej czego się trzymać. Życie ma swoje wymagania i prawa swoje. Oddacie ojcu ostatnią posługę, pochowacie go i już od was nic potrzebować nie będzie.

— Prócz pamięci...

— Ślicznie pani powiedziała. Czcić będziecie tę pamięć, ale żyć musicie. Czas osuszy łzy, a życie rzuci wam przed oczy kwestję przyszłości i bytu. Żeby to zagadnienie rozwiązać, trzeba liczyć, liczyć i liczyć; dla tego to jako człowiek praktyczny radzę, niech pan Józef nie zwłócząc obezna się ze stanem interesów. Chociaż Jakób godzien jest zaufania, chociaż nie śmiem go o nic posądzać, ale zawsze lepiej sprawdzić, koniecznie sprawdzić! Instytucje podlegają sprawdzaniom, ministrowie ulegają kontroli i nie krzywdzi ich to.

— Ha, skoro pan radzca powiada...

— Powiadam panie Józefie, powiadam. To nawet rozerwie trochę twoje smutne myśli, a przynajmniej zwróci je na inny przedmiot.

— Więc dobrze.

— Jesteście tu państwo w rodzeństwie; pójdźcie więc wszyscy razem, zobaczcie co jest i jak jest. Przeliczcie, pozamykajcie, a później, gdy już ochłoniecie trochę z ciężkich wrażeń, zastanowicie się, co dalej przedsięwziąć, jak się urządzić. Co do mnie, jeżeli zażądacie rady, czy wskazówki jakiej, nie odmówię, zawsze chętnie służyć wam będę.

— Dziękujemy, serdecznie dziękujemy.

— Za co? Czyż to nie mój obowiązek? Tyle lat, tyle lat przeżyłem z ojcem waszym w przyjaźni, radbym więc... No, nie przeszkadzam, pójdę już.

— Niech pan zostanie.

— Nie, nie; po cóż tu moja obecność? Państwo sami wszystko obejrzycie i policzycie...

(C. d. n.)

siły, i choć teraz przy wyborach poniosła klęskę, ale i liczebnie niewielką i nietrwałą. Nawet zwycięzcy republikanie, czyli po europejsku „liberałowie", czują, że panowanie ich potrwa tylko jednę kadencję, tylko lat cztery."

Otóż więc łatwo teraz zrozumieć powody, które republikanów skłoniły do zaprojektowania zmiany konstytucji: chcą panować bodaj sześć lat i przez ten czas mocniej się zakorzenić, niżby mogli w czterech latach.

Ale z tem wszystkiem — zasadniczo rzecz biorąc — projektowana zmiana konstytucji jest dobra. Byłaby jeszcze lepsza, gdyby wybory odbywały się nie co sześć, ale co kilkanaście lat, bo one wszędzie jednakowo szkodzą krajom i politycznie i finansowo i moralnie.

Przedwyborcze zgromadzenie.

Obywatele naszego miasta, którzy na uprzejme zaproszenie Komitetu rękodzielników i przemysłowców pośpieszyli licznie na wczorajsze zgromadzenie przedwyborcze, bez wątpienia nie mogą się żalić, iż wieczór ten poświęcili sprawom miejskim. O bo dawno już ściany sali ratuszowej, któreby mogły odpowiedzieć ciekawe dzieje zebrań i wieców odbytych w tych murach, nie słyszały tak głośnych salw szczerej, serdecznej wesołości, nie wtórowały tak rozgłośnym oklaskom, któremi obsypywano szczodrze jowialny humor lub satyryczne dowcipy mówców.

Zgromadzenie było liczne, a już na kwadrans przed otwarciem wiecu szczelnie zapełniła się sala wyborcami. U wejścia gospodarze zebrania, z czerwonemi odznakami swej godności, pilnowali porządku a ich czujnemu oku nie uszedł chyba ani jeden z owych strohmanów, którzy zwykło i z powodzeniem grają rolę wyborców na zgromadzeniach ratuszowych. Inny więc ratuszowa sala przedstawiała obraz, a chociaż brakło między obecnymi ludzi zapełniających sobą każde publiczne zebranie w naszem mieście, już pobieżny rzut oka wskazywał, że zeszli się tu mężowie, którym w pierwszym rzędzie leży na sercu dobro miasta i to leży im bezinteresownie. I ciepło a pogodno było śród starych ratuszowych murów, bo witano dawnych, dobrych znajomych i przyjaciół, witano zmartwych powstałą falangę mężów, którzy dziś przyszli tu, aby głośno powiedzieć: „Jesteśmy". Nie brakło więc owej nierozłącznej pary profesorów i ich adeptów, dobrze pamiętnych z akcji wyborczej przed dziewięciu laty, a dla uzupełnienia scenerji nie zapomniano o przedstawicielu przedmieścia, owym „nieszczęsnym mieszkańcu puszczy Sahary", gdzie woda do picia i skrapiania dróg jest rarytną rzadkością, widok inżyniera miejskiego wypadkiem historycznym, wizyta miejskiego lekarza ewenementem arcy nadzwyczajnym.

W kilka minut po szóstej odezwał się dzwonek przewodniczącego p. Wojtyńskiego, majstra stolarskiego, miejsca sekretarzy zajęli dr. Lill i dr. Bliziński, a pierwszy z sekretarzy odczytał program obrad.

U wstępu zaznacza odczytany program nieuznanie legalności komitetu wyborczego, wybranego na zgromadzeniu z 7 b. m., i oświadczając. że rękodzielnicy lwowscy przyłączają się do protestu trzech połączonych komitetów pod godłem „Związek", wypowiada konieczność wybrania własnego komitetu przedwyborczego, którego lista, z 150 nazwisk złożona, znajduje się w rękach obecnych.

Mimo tego rękodzielnicy, przemysłowcy i właściciele realności nie godzą się w zupełności z programem, ogłoszonym przez „Związek." Nie godzą się więc, aby okres urzędowania Rady miejskiej przedłużyć na lat sześć, bo to „uśpiłoby klasy rzemieślnicze i przemysłowe, dla których każda akcja wyborcza jest praktyczną szkołą życia publicznego." Zresztą nawet teraźniejszy, trzechletni okres wyborczy, dowiódł, że jest dość długim, bo wystarcza, aby wśród niego zużywała się i starzała każda Rada.

Nie piszą się także pp. rękodzielnicy i t. d. na zmianę w sposobie mianowania urzędników miejskich, bo przelawszy na magistrat moc i władzę mianowania funkcjonarjuszów gminnych, rozluzowałby się stosunek ich do Rady, a brak tej spójni mógłby w magistracie stworzyć zachcianki wprost przeciwne intencjom Rady.

Nie godzi się przeto obdzierać Rady z tego prawa, lecz zwrócić na to pilniejszą czujność, aby posady dostawały się kandydatom istotnie na to zasługującym, aby wyższymi urzędnikami nie mianowano ludzi bez wymaganego w urzędach publicznych wykształcenia. Obok tego baczyć trzeba, aby urzędnicy gminni nie mięszali się w sprawy, nie wchodzące w ich zakres działania. To dotyczy przeważnie urzędników budownictwa miejskiego, którzy stali się pośrednikami wpływowych budowniczych zasiadających w Radzie i zgłaszającym się do nich stronom podsuwają budowniczych z trzeciej sekcji Rady. Żądając od kandydatów do urzędów gminnych dobrych kwalifikacyj, żąda program od kandydatów do Rady tej samej kwalifikacji. Żąda więc, aby kandydat na radnego miasta Lwowa „był człowiekiem nieposzlakowanego charakteru, człowiekiem rozumu i odpowiedniej wiedzy, ludzkim i do pracy publicznej chętnym, a wreszcie o ile to jest możliwe — posiadał niezależne stanowisko w społeczeństwie, gdyż tylko z podobnych mężów składająca się Rada miejska, zdoła sprostać swemu zadaniu."

Takich niezależnych radnych przeważnie dostarczyć może tylko żywioł mieszczański, a obok niego stan adwokatów, lekarzy i profesorów, stosunkowo mniej zależnych od reszty kategoryj urzędniczych.

Po ogólnikowych żądaniach programu, aby przyszła Rada była postępową, lecz nie zapominała o względach koniecznej oszczędności, następuje cały szereg konkretnych postulatów. Wymaga więc program lepszego urządzenia zdrowotnych stosunków miasta, założenia rzeźni, kanalizacji i osuszenia wilgotnych dzielnic miasta, założenia lub popierania korporacyjnych składów surowych materjałów, bazarów ku sprzedaży gotowych wyrobów miejscowego przemysłu i t. d.

Jeśli jest „rzeczą ojców miasta dbać o dobrobyt" jego mieszkańców, to byłoby temu wbrew przeciwnem, aby w łonie przyszłej reprezentacji miejskiej zasiadali ludzie, którzy ze szkodą konsumentów i odnośnych przemysłowców, biorąc w monopol przemysł i bezpodstawnie, ale za to zuchwale, podnoszą w mieście drożyznę.

Odczytany program oklaskiwano gorąco a po ukończeniu czytania pierwszy zgłosił się do słowa prof. Jägerman, witany tak serdecznie i rzęsistemi oklaskami, iż długo czekać musiał na uciszenie się, aby rozpocząć swoją mowę. Mówca, któremu szczodra natura nie poskąpiła swady ludowego trybunu, nie zawiódł oczekiwań, a chociaż z góry prosił o pobłażania, iż chwilowe niedomaganie nie pozwala mu mówić tak, jakby tego pragnął, był to jeno oratorski frazes wstępny, po k tórym z werwą i gryzącym dowcipem przystąpił do omówienia obecnej akcji wyborczej. Właściwie nie miał mówca zamiaru zabierać dziś głosu, bo — jak to już wypowiedział na zgromadzeniu wyborczem z ubiegłego poniedziałku — dopiero po ogłoszeniu sprawozdania ustępującej Rady z jej działalności chce wystąpić z otwartą krytyką tego sprawozdania.

Zwątpił wszelako, czy koterja, która podstępem zdobyła ratusz, zwoła zgromadzenie wyborcze lub czy nie zwoła go na kilkadziesiąt godzin przed samem głosowaniem. Zastrzega się więc, że głosu krytyki nie zrzeka się wcale, a dziś ograniczy się na wykazaniu nielegalności wybranego na poprzedniem zgromadzeniu wyborczem obszerniejszego komitetu. Jako inżynier obliczył mówca, że sala ratuszowa ma 561 tafli parkietowych, z których każda zaledwie zdoła na sobie pomieścić jednego wyborcę lub niewyborcę. Odtrąciwszy trybunę i miejsca na których stoją filary sali, ledwie 400 ludzi zmieścić może sala ratuszowa. Wbrew temu dzięki nadludzkim sztukom czarnoksięskim urządzających ostatnie zgromadzenie wyborcze stał się cud, iż na tych parkietach znalazło miejsce 853 zwolenników listy ratuszowej obok 253 przeciwników, idących za listą „Związku". Przeciw temu wyborowi obszerniejszego komitetu ogłoszono wprawdzie protest, lecz że klin klina wybija, więc w odpowiedzi na ten protest, zjawił się znów protest, którego jedynym argumentem, że „cygan świadczy się zawsze swojemi dziećmi". Tym, którzy ogłosili ów protest przeciw protestowi, a krzesła senatorskie radziby wziąć w arendę, nie chodzi o nic innego tylko o to, aby waśnić wyborców, nie dopuszczać do skupiania się i tak w mętnej wodzie łowić dla siebie ryby.

Tego nie dokażą oni — a dowodem o ile zmądrzeliśmy, spokój i jednomyślność panujące w tej sali. Spoczywa dzwonek przewodniczącego i obchodzi się bez interwencji owego posła do Rady państwa, który obawiając się „secessji czy scyssji", daremnie błagał o spokój na poprzedniem zgromadzeniu „dla mówców krótkich lub rozwięzłych." Górą więc znów „Łączność i zgoda" z której łona wyszło teraźniejsze prezydjum Rady. Pod tym sztandarem wybory muszą wypaść pomyślnie dla miasta i z urn wyjdzie stu radnych iście godnych tego zaszczytu!

Następny mówca p. Bogdalski widzi w przededniu wyborów walkę rozpanoszonej ambicji z uczciwą prawdą. Pewna koterja, zasiedziawszy miejsca w tej sali, sądzi, że zwalą się mury ratusza, jeśli ona ją opuści. Dzięki Bogu stały one bez niej i stać będą. Od lat dwudziestu rządzi ta klika miastem i tak zrosła już z niem, iż często radzi nie o miasta, lecz o własnych intereresach, bo w sposób niezupełnie godziwy potrafiła ona interesa miasta zrobić dla siebie zyskownemi interesami i zawiadować funduszami jego po jednej stronie z nagany godną rozrzutnością, po drugiej — dla przedmieść — z niesłychanem sknerstwem. Owładnęła ta klika ratuszem i sądzi, że dokaże swego, lecz „my idąc zgodnie i łącznie, pokażemy, że jeśli nie sztuka jest zrobić pięść, kiedy się ma palce — to łatwiej z palców zrobić figę". (Oklaski.)

Wstępuje na trybunę p. Grochowalski. Galerje przepełnione publiką, witają go sykaniem. Nie ostudza to animuszu mówcy. Kategorycznie żąda on dla siebie posłuchu, bo jest „obywatelem miasta, polskim szlachcicem i byłym oficerem sztabowym". Jako taki, wietrzy on wojnę, która niebawem może nawiedzić nasz kraj.

Galerje znów wzywają mówcę „do rzeczy" —lecz mówca niezbity z kontenansu, odpowiada psotnikom z górnych sfer, że to należy właśnie do rzeczy, bo jeśli będzie wojna, to będzie kontrybucja, a wtedy trzeba mieć tęgą Radę, aby umiała potargować się z nieprzyjacielem, a nie drapnąć przed nim za Karpaty.

Dla mówcy obojętnem jest, czy w przyszłej Radzie zasiędą Szustery czy Szewscy, Bindery czy Bednarscy, bo wie z doświadczenia własnego, że najlepszemi patrjotami są ci, których nazwiska kończą się na „mann" lub inaczej z cudzoziemska. Mówca chce mieć w Radzie ludzi zacnych, a tych winien wyszukiwać każdy wyborca z grona swoich bliższych znajomych. Tak uczynił już osiwiały mówca i z ramienia swojego trzech kandydatów mianuje członkami przyszłej Rady miejskiej, za co odbiera sute oklaski z galerji.

Pierwszym były rektor szkoły politechnicznej prof. Żmurko, drugim kanonik Karaczewski. A teraz — ciągnie dalej mówca — „idę na żyda", bo „panie łaskawego", gdzie tylu żydów, reprezentacja miejska nie może się obejść bez kilku „polnische Juden" czy też — jak wolicie — „jüdische Polen." Z galerji znów wszczyna się wrzawa i śmiechy. Mówca siada, aby przeczekać burzę. Ktoś woła: „A co powiedzą dzienniki?" — „A niech tam piszą, co im ślina na język przyniesie" — odpowiedział z flegmą p. Grochowalski — „ja gazet nie czytuję, chyba w Kronice szukam, kto się powiesił." Wreszcie po kilku minutach ucisza się w sali, a korzystając z tego mówca, jako trzeciego swojego kandydata, ogłasza *urbi et orbi* dr. W. Holzera.

Równocześnie z ustępującym z trybuny p. Grochowalskim jawi się na niej p. Henryk Atlas, właściciel restauracji pod „Białym orłem." Lecz zaledwie wymówił, że i jemu „leży w oku dobro miasta", galerje, widocznie źle usposobione dla braci w Izraelu, przerywają mówcy i śmiechem a sykaniem zagłuszają jego słowa. Mówca czeka, po kilkakroć poczyna mówić, wreszcie przełamawszy antypatje zgromadzenia, wygłasza żale szynkarzy lwowskich na utworzony przez tutejszych faktorów „Bierring", na czem oczywiście wielce „szkodują" amatorowie trunku Gambrimusa.

Po niefortunnym obrońcy piwa zabiera głos p. Barański, urzędnik Namiestnictwa. Opowiada on szczegółowo jak zazwyczaj robią się w naszem mieście wybory „wódką i kiełbasą." Wyjaśnia fortele i sztuczki używane, aby napowrót wybrać dawną Radę i przypomina, że w tych zabiegach dopomagają dzienniki (oklaski), nie szczędząc tendencyjnych kłamstw, aby poprzeć wybór swoich protegowanych. Mówca brzydzi się takiemi dziennikami, a za kłamstwa radzi „rzucić gazetę w piec, a redaktora do dziury." Znieść więc trzeba dotychczasowy tryb wyborów a dla bezstronności wybrać taki komitet przedwyborczy, aby w nim nie zasiadał kandydat na kandydacie do Rady miejskiej.

P. Schuster nie pojmuje zarzutu, jakoby rękodzielnicy nie chcieli iść ręka w rękę z inteligencją. Wszak cóż innego rzemieślnik, jak nie praca połączona z inteligencją. W liście naszej — powiada mówca — obok rękodzielników jest inteligencja; lecz nie ta, która gardzi pracą i chce nią poniewierać.

Dr. Pisek, który dał się wczoraj poznać jako mówca wykwintny i biegły szermierz parlamentarny, podnosi, że wybrany na ostatniem zgromadzeniu obszerniejszy komitet wyborczy rzucił do kosza wniosek mówcy, przyjęty przez zgromadzenie, i nie przybrał do swego grona 25 przedstawicieli innych, nielegalnie przegłosowanych stronnictw. To samo zwalnia już stronnictwa przeciwne od uznania legalności tego komitetu, a chociaż przykro mówcy jako członkowi inteligencji występować przeciw niej, jednak słuszność każe mu tak uczynić. Zaleca więc nie oglądać się dalej na komitet ratuszowy, lecz radzi iść wszystkim opozycyjnym komitetom zgodnie do tego celu, aby z pomiędzy wszystkich warstw społeczeństwa wybrać do Rady nie ludzi próżnej ambicji, głodnych zaszczytów, lecz ludzi o zdrowym chłopskim rozumie i wypróbowanej uczciwości.

Mówca, jako lekarz, podnosząc głównie jako zadanie przyszłej reprezentacji miasta — lepsze urządzenie zdrowotnych jego stosunków, kończy poradą, ażeby przy wyborach dawniejszą Radę przepuścić przez gęste sito i odsiawszy plewy, pozostawić jeno dobre ziarna.

Dr. Ciesielski nie pochwala zlewania się wszystkich komitetów wyborczych w jedno ciało, bo im więcej komitetów i list kandydatów, tem łatwiejszym dobry wybór. Z rozwojem życia publicznego muszą się mnożyć komitety. Lat temu dwanaście był tylko jeden komitet, przed dziesięciu już utworzyło się ich dwa, a rezultat okazał, kiedy wybory wypadły pomyślniej. Z kretesem, w czambuł, nie godzi się także potępiać ustępującej Rady. Miała ona dobre chęci, jak wszystkie dawniejsze. Jeśli są narzekania, to nie koniecznie słuszne, idą one bowiem z przedmieść. Te były wprawdzie dotąd zaniedbane, bo śródmieście miało i musiało mieć pierwszeństwo. Odtąd trzeba będzie pójść odśrodkowo i zajrzeć do przedmiejskich zaułków. Mówca wnosi w końcu uchwalenie rezolucji, aby żądać od Rady i Prezydenta, iżby przy nachodzących wyborach magistrat zachowywał się zupełnie neutralnie.

Po dalszych jeszcze przemówieniach prof. Jägermanna i przedmieszczanina p. Lisiewicza — który w jaskrawych słowach przedstawił niedolę przedmieszczan — przyjęto rezolucję dra Ciesielskiego i nie głosując nad proponowaną listą komitetu wyborczego — odroczono dalsze obrady do zgromadzenia, które się odbędzie jutro — w piątek — o godz. 6 wieczorem w sali ratuszowej.

Z Izby sądowej.

Proces Kukizowski

(o usiłowane skrytobójcze morderstwo rozbójnicze).

(Ciąg dalszy.)

Środa 16 stycznia.

W odczytanych w dalszym toku rozprawy notatkach p. Strzeleckiej znajduje się między innemi twierdzenie, że o zabicie psa legawego podejrzywała niejakiego Sieniutę, męża sługi dworskiej, który wykonywał szczególny proceder wyprawiania psich skór i sporządzania z nich butów. Na „cwancygiery" księdza zaostrzał sobie, znowuż według tego memorjału pani Strzeleckiej, apetyt sługa dworski Łucio. Jak dalece ksiądz nie wiedział o tem co posiada, świadczy okoliczność, że utrzymywał stanowczo, iż nie ma żadnych korali, mimo, że faktycznie korale u niego w szafie znaleziono.

Radzca Duniewicz badając dalej oskarżoną, zapytuje, jakie wrażenie odniosła wszedłszy do mieszkania księdza po wypadku.

Oskarżona. Zastałam w pokoju nieład ogromny, dużo fetoru i krew. Ksiądz był krwią obwalany i na podłodze były krwi ślady — na środku podłogi zaś plwociny. Zapytałam: „co się księdzu stało?" „Spadłem z łóżka i potłukłem się" — była odpowiedź.

R. Duniewicz. Była tam mowa o jakiemś „zabiciu?"

Osk. Tak, ksiądz powiedział: „Jeżelim się zabił, tom się sam zabił." Kucharz potem coś napomknął: „Taki mi się zdaje, proszę pani, że to nie może być, aby ksiądz sobie sam to wszystko narobił, tu musiał ktoś być." Na to ja odpowiedziałam: „Jaki ty durny, Michał, ksiądz sam mówi, że upadł, a ty mówisz, że ktoś był!" Tak jest, to prawda, żem to powiedziała. — Owóż zdawało mi się, że to atak epileptyczny.

R. Duniewicz. Wiadomo pani, że w takich wypadkach pomoc doraźna choremu jest potrzebną. Tymczasem...

Osk. Cóż można było zrobić po nad to, co w pierwszej chwili zarządzono? Ksiądz był już całkiem spokojny, oddychał, pokazywał rany ręką, ale mówił, że nic go nie boli.

Badanie dalsze wraca znowu do znanych rzeczy o wezwaniu p. Aleksandra Strzeleckiego kartką.

Przy tej sposobności prezentuje przewodniczący oryginalną kartkę tę z aktów pp. sędziom przysięgłym. Opiewa ona jak wiadomo: „Proszę, przyjeżdżaj konno ksiądz źle... itd." Kilku sędziów przysięgłych robi uwagę, że wyrazy „ksiądz krwią zawalany" wydają się jakby „post scriptum." Stoją one obok podpisu „Marja Strzelecka," ale czy istotnie później dopisane zostały, gdy już podpis był położony, tego na pewno orzec nie można.

Odpowiadając dalej, powtarza oskarżona, że ksiądz zawsze, ilekroć oddawał jej pieniądze, mówił: „niech dobrodziejka nikomu nie mówi", — bał się bowiem, że ludzie wiedząc, iż mam jego pieniądze, mnie gotowi napaść. Zaprzecza oskarżona stanowczo twierdzenie, w oskarżeniu zawarte, jakoby kiedykolwiek prosiła księdza o pamiętanie o Strzeleckich przy robieniu testamentu, nawet aluzyj żadnych w tym względzie nie robiła.

Raz tylko przypomniała mu, że kościołek w Kukizowie, ufundowany przez samego ks. Tch. wymaga reparacyj — i że o tym kościółku pamiętać należy.

Ks. Tchórznicki pożyczał natomiast czasem pieniądze, cały dług wynosił jednak 2000 zł. na skrypt mój — powiada oskarżona — i parę set zł. syn był mu winien.

Następnie podaje oskarżona na pytanie sędziego przysięgłego Domaszewskiego, że od kilku lat już chodzi o lasce, z trudnością, a wstawanie z miejsca jest jeszcze z większymi trudnościami połączone. Cierpi bowiem ból krzyżów. Lekarzy nie radziła się w tym względzie, uważając ból ten jako skutek nadchodzącej starości, zastosowywała tylko domowe środki, obawiając się, ażeby kuracja radykalna nie pogorszyła jeszcze jej stanu. Do powozu wsiąść nie może, póki służba nie przystawi stołeczka. Cierpienia te były powodem, że w ostatnich czasach prawie nigdzie z domu się nie wydalała. U córki przez dwa lata nie była.

Sędzia przysięgły p. Domaszewski zaznacza, że postawił powyższe pytanie w tym kierunku, ażeby zbadać, czy stan taki mógł pozwolić oskarżonej na nocne jakieś wycieczki.

Oskarżona dodaje, że oprócz bolu krzyżów, ma jeszcze ten defekt, że mało co widzi w dzień, nie dopiero w nocy. Dalej zaś na pytanie sędziego przysięgłego Domaszewskiego, zeznaje, że o wiele wie, syn Aleksander nie był w Kukizowie ani na dzień, ani na dwa dni przed wypadkiem, bawił bowiem we Lwowie przez piątek i sobotę.

Wreszcie na pytanie zastępcy wotanta dra Stebelskiego deponuje oskarżona, że ks. Tchórznicki opłacał tytułem utrzymania swego w dworze kukizowskim 20 zł. miesięcznie. Ksiądz sam zaproponował taką umowę, ponieważ obawiał się, żeby z tytułu tego utrzymania nie żywiono może jakichś pretensyj do jego spadku. P. Strzelecka zrazu tych 20 zł. przyjąć nie chciała, ale w końcu, w interesie jasnego określenia stosunku, zgodziła się na tę propozycję.

Kolej badania oskarżonej przyszła teraz na p. prokuratora. Owóż na samym wstępie zaznaczył, że ze swego stanowiska znajduje, iż zeznania oskarżonej złożone przy rozprawie, różnią się jaskrawo od złożonych w śledztwie, że zachodzą między niemi „essencjonalne dywergencje" i dla tego upraszał przewodniczącego, a ewentualnie trybunał, ażeby zarządził odczytanie zeznań pani M. Strzeleckiej w śledztwie złożonych.

Żądanie to wywołało dłuższą kontrowersję między p. prokuratorem a obrońcami. Dr. Roiński sprzeciwił się żądaniu, uważając je za zbędne już w obecnem stadjum rozprawy, t. j. przy przesłuchaniu obwinionych, a przed rozpoczęciem właściwego postępowania dowodowego.

Trybunał też po krótkiej naradzie odsunął żądanie prokuratora, poczem obrońca dr. Roiński zapowiedział imieniem p. Strzeleckiej, że ona w obecnem stadjum rozprawy odmawia odpowiedzi na pytania prokuratora, które dążyć będą zapewne niejako do uzupełnienia śledztwa, bo opierają się na aktach, które tylko przewodniczącemu rozprawy i prokuratorowi są znane. Toż samo zapowiedział imieniem swego klienta, Aleksandra Strzeleckiego, dr. Dulęba a dr. Górecki podniósł nadto, że czas pięciomiesięczny był dostateczny do przeprowadzenia jak najdokładniejszego śledztwa Sala sądowa nie jest miejscem do jego uzupełnienia.

Na tem przewodniczący przerwał rozprawę o godz. 3 po południu do dnia następnego.

Czwartek 17 stycznia.

Przysięgły p. Kahane uprasza, ażeby Trybunał uwolnił go od obowiązku sędziego przysięgłego, z powodu, że ma bardzo ważne zajęcie gospodarskie w domu, gdzie wybuchła zaraza.

Trybunał prośby tej nie uwzględnił.

Zarazem co do wczorajszego wniosku p. prokuratora ogłosił Trybunał swoję uchwałę, że wolno prokuratorowi stawiać pytania do oskarżonych już w obecnem stadjum rozprawy, mimo oświadczenia oskarżonych, że na pytania prokuratora odpowiadać nie będą. Pytania prokuratora będą zanatowane w protokole rozprawy.

Prokurator zapytuje tedy p. Marję Strzelecką, jakim kluczem otworzyła szafę księdza Tchórznickiego wówczas kiedy brała, rzekomo z jego polecenia, pieniądze z szafy, bo skonstatowano, że ów klucz, który zaprezentowała przy rewizji sądowej, nie był właściwym kluczem od tej szafy. Nadto przedstawia prokurator jeszcze inną według jego zdania sprzeczność w zeznaniach oskarżonej co do tego, ile razy z szafy wyjmowała pieniądze.

Przewodniczący odmawia wręcz żądaniu prokuratora, ażeby sprzeczność tę natychmiat na podstawie aktów skonstatować, albowiem na według procedury karnej konstatowanie takie należy do postępowania dowodowego. Zarazem zaś czyni przewodniczący p. prokuratorowi uwagę, że należy pytania stawiać oskarżonej wprost, w formie jasno określonej, a nie przedstawiać jej poszlaków tak, jak się one na podstawie oskarżenia w wzajemnej łączności popierają.

Prokurator stawia oskarżonej cały szereg pytań i wykazuje zachodzące poszlaki, nie mniej mówi o sprzecznościach w tłumaczeniu się oskarżonej, żądając wyjaśnienia tych kontradykcyj.

W czasie tego badania uchyla przewodniczący stanowczo pytanie prokuratora, dla czego oskarżona w toku inkwizycji (dnia 26 sierpnia) tłumaczyła się tak, jak się tłumaczyła, a nie inaczej. Wolno było oskarżonej wówczas tłómaczyć się, jak chciała i mogła, a przedstawienie sprzeczności należy do przewodniczącego i to dopiero w toku postępowania dowodowego. Zresztą oskarżona w myśl poprzedniego oświadczenia nie odpowiada wcale na pytania prokuratora — więc całe to badanie oskarżonej pozbawione jest dla publiczności czytającej wszelkiego interesu.

Na jedno jednak pytanie prokuratora zwrócił i przewodniczący uwagę, mianowicie co do sprzecznego tłumaczenia się oskarżonej, raz że zgubiła w lokalu komisyjnym rozmaite niepotrzebne papiery i przedawnione kupony, drugi raz, że może być, iż je do pieca wrzuciła, ale ich nie paliła.

Oskarżona odpowiada, że być może iż niepotrzebne niektóre papiery wrzuciła do pieca, zaś zapalając cygareto, jak było jej zwyczajem rzuciła także i zapałkę do pieca i wtenczas papiery owe się zapaliły.

Odpowiada też oskarżona na pytanie radzcy Duniewicza, jaki to był ów klucz, którym otworzyła szafę księdza. Owóż był to stary kluczyk, a dał go jej sam ks. Tchórznicki.

Przewodniczący uchyla także pytanie prokuratora, jak sobie oskarżona tłumaczy wyrażenie się księdza: „niech sobie Strzeleccy wezmą dobrego adwokata". Skądże bowiem oskarżona może dać wyjaśnienie tego co ksiądz mówił?

Na tem p. prokurator zakończył badanie oskarżonej.

Po 5 minutowej przerwie udziela p. przewodniczący głos dr. adwokatowi Roińskiemu, który przemówił mniej więcej w te słowa: Zadaniem mojem będzie o tyle mówić w tej sprawie, aby ją jak najkrótszą poprowadzić drogą. Nie jesteśmy bynajmniej w tem przekonaniu, że bronimy winnych, owszem jesteśmy przekonani, że bronimy niewinnych. Jeżeli obrona widziała się spowodowaną zrobić uwagę oskarżonej, aby sobie zastrzegła to, iżby nie odpowiadała na zapytania prokuratora, a to dla tego, aby przez wielkie znużenie na które by była obwiniona narażoną, sprawa ta coraz więcej się nie gmatwała, to przedewszystkiem Wysoki Trybunał nie zechce z tego powodu wypowiadać ujemnych zdań.

R. Simonowicz odpowiada, iż sz. ława obrony, może nie dobrze zrozumiała słowa sędziego. Stan adwokacki jest tak poważany przez Trybunał, że nie mógłby on mieć tej myśli ubliżyć kiedykolwiek obronie.

P. prokurator zauważa, że p. przewodniczący przystępuje do postępowania dowodowego, uprasza przeto aby mógł postawić szereg pytań pani Strzeleckiej i p. Aleksandrowi Strzeleckiemu z osobna.

W tej chwili na wezwanie przewodniczącego p. Strzelecki opuszcza salę, poczem przewodniczący udziela głos p. prokuratorowi.

Oskarżony zastrzega się co do dalszych odpowiedzi na pytania prokuratora, i mówi, że będzie odpowiadał na pytania dowodowe.

Prokurator zadaje oskarżonemu rozmaite pytania co do spotkania się z ks. Królickim, tudzież w jakim stanie znalazł rzeczy porzucone w masztarni, jak sobie tłumaczył to porzucenie tychże i czy po wypraniu koszuli ksiądz Tch. robił komu wyrzuty? Zapytywał jeszcze o rozmaite fakta jak np. oddanie klucza, zabranie depozytu księdza tudzież wiele pytań znanych z aktu oskarżenia.

Na wezwanie p. przewodniczącego wchodzi do sali napowrót p. Strzelecka, poczem p. przewodniczący przystępuje do postępowania dowodowego.

Dr. Max imieniem ks. Tchórznickiego, na podstawie § 367 postęp. karnego, aby wszystkie papiery wartościowe, monety, srebrne i złote efekta, które sędzia śledczy odnalazł i do przechowania zabrał, aby to wszystko wydanem zostało ks. Tchórznickiemu.

W skutek postawionego wniosku p. obr. Dulęby odczytał przewodniczący zeznania p. Drohojowskiego, który nabył dobra p. Kielanowskich Borysławice. W protokole tym mówi hr. Droh. że nabył takowe 1 lutego 1888 za cenę 77.000 zł. Cena kupna została w zupełności wypłaconą. Jak wiadomo, w akcie oskarżenia p. prokurator obliczał, że długów hipotecznych było na tych dobrach 55.000. Przeczytano sumaryczny wyciąg dóbr Borysławice.

Obrońcy zrzekają się swoich dowodów w tym względzie.

Prokurator wnosząc z oględzin lekarskich i z własnego tyloletniego zawodu jako prokuratora stawia wniosek, aby cały Trybunał z prokuratorem i p. sędziami udał się na miejsce wypadku do Kukizowa i Bołszowa. Prok. mówi, że będzie to leżeć w interesie tych, którzy mają sądzić, aby mieli dokładne wyobrażenie położenia miejsca wypadku, sądzi więc, że obrona się temu nie sprzeciwi.

Obrońca dr. Roiński nie sprzeciwia się temu wnioskowi, jakkolwiek dzisiaj nie widzi on wcale potrzeby udania się całego trybunału na miejsce wypadku.

Przewodniczący oddaje wniosek p. prokuratora do rozstrzygnięcia wys. trybunału w właściwym czasie, następnie odczytuje protokół z 28 września spisany przez delegowaną komisję do Bołszowa i Rudaniec, przyczem plan sytuacyjny folwarku daje do przejrzenia sędziom przysięgłym.

W dalszym ciągu rozprawy przewodniczący zarządza przesłuchanie p. Alberta Mniszka. — Świadek, rodem z Ostrowa, rel. rzym. kat., 22 lat, wolny. Nie jest spokrewniony z p. Strzeleckimi. Świadka tego zaprzysiężono.

Przew. Byłeś pan w Bołszowie 29 lipca wieczorem? Na jak długo przedtem było to w projekcie?

Św. Byliśmy proszeni na dwa tygodnie przedtem. Z jakich powodów p. Strzelecki odłożył wieczór nie wiem.

Przew. Ile osób przybyło?

Św. Zdaje się, że 7 (tu w licza świadek wszystkich gości, o których obecności podówczas, wspomina akt oskarżenia)

Przew. Kiedyście wyjechali?

Św. Między 1-szą a 2-gą, zresztą na zegarek nie patrzyłem. Koło 3 byliśmy we Lwowie.

Przew. Czy gospodarz nie prosił gości na nocleg, zwłaszcza, że nocy tej padał deszcz?

Św. Prosił, lecz nie mogłem zostać — służyłem wówczas w wojsku, byłem więc krępowany służbą.

Na zapytanie p. Przewodniczącego, czy świadek nocował kiedy w Bołszowie, zaprzecza stanowczo, lecz słyszał, że nocowano tam czasem.

Pan Mniszek przyznaje, że widział rano o 8 godzinie 30 lipca na dworcu, Aleksandra Strzeleckiego, i jeśli sobie dobrze przypomina, mówił mu że jest z jakimś księdzem.

Strzelecki zaprzecza, jakoby mówił iż jest „z jakimś księdzem" — i utrzymuje, że mówił „przyjechałem po księdza". Miał tu na myśli ks. Królickiego.

Przew. Co panu mówił Aleks. Strzelecki o wypadku?

Św. Nie przypominam sobie czy mówił o wypadku, zdaje mi się, że to było później.

Przew. Od dawna pan zna p. Strzeleckiego?

Św. Od lat dwóch.

Przew. Był pan w przyjaźnych z nim stosunkach.

Św. Tak.

R. Duniewicz. Czy pan pamięta dobrze, że na dwa tygodnie przed 29 lipca był pan proszony? Podano jaki powód odłożenia tej zabawy? Bolała pana wtedy głowa?

Św. Często cierpię na ból głowy.

Simonowicz. Czy na dłuższy czas nie wydalał się z domu podczas zabawy p. Aleksander Strzelecki?

Św. Na dłuższy czas nie, może na chwilę.

Duniewicz. Czy jakieś pan go widział na dworcu, odchodził wtedy jaki pociąg ze Lwowa.

Św. Do Żółkwi. To było między 7 a 8.

P. Stebelski zapytuje świadka w jaki sposób przedstawił wypadek p. Strzelecki jemu, czy był powód do opowiadania tego wypadku?

Świadek spytał na dworcu Aleksandra Strzeleckiego po co przyjechał, a ten mu odpowiedział.

Po przerwie półgodzinnej następuje dalszy ciąg rozprawy.

Przewodniczący przywołuje do sali świadka Tustanowskiego. Czy był pan słuchany w tej sprawie i zaprzysiężony?

Św. Tak jest.

Przew. zapytuje z kim jechał do Bołszowa.

Św. Z p. Mniszkiem.

Przew. pyta dalej świadka co do czasu, kiedy się zapoznał z Aleks. Strzeleckim?

Św. W 1882 r. poznałem go.

Przew. odczytuje zeznania świadka w tym względzie w śledztwie podane.

Przew. Jakie było pańskie przekonanie gdyś pan słyszał o wypadku?

Św. Uważałem, że to jest niemożliwe. O ile znam Strzeleckiego, nie sądzę aby był zdolny współdziałać w takim czynie. W dniu 29 lipca był Strzelecki zupełnie swobodny, tak że nic nie mogło wskazywać na jego zaniepokojenie.

Przew. Bywałeś pan przedtem u państwa Strzeleckich?

Św. Bywałem.

Przew. Czy było zawsze dosyć wina, aby można było użyć?

Św. Było dosyć rozmaitych trunków.

W dalszym ciągu zadaje R. Sim. pytania

dotyczące uczty, powrotu do Lwowa i oznaczenie czasu wyjazdu z Bołszowa. Odpowiedzi świadka są zgodne z poprzedniemi.

Przew. Kogo pan spotkał przed rogatką o 3 w nocy?

Św. Głowackiego i Gamrata.

Prok. nadmienia, że to zeznanie jest ważne ze względu na osobę Gamrata, o którym kursowały pogłoski mylne, a ubliżały jego osobie.

Prok. Czy Strzelecki nie wspominał panu o swoich długach. Czy nie pożyczał pieniędzy? Czy długów karcianych nie miał?

Św. O tem mi nie wiadomo. Odemnie nigdy nie żądał pieniędzy.

Prok. Czy nie był on w tych warunkach, które innego byłyby skłoniły do jakiego stanowczego kroku.

Św. Żadnych takich warunków w nim nie widziałem.

Wchodzi do sali świadek p. Rozwadowski, który żył z oskarżonym, jak zeznaje, w dobrych stosunkach. Odpowiedzi świadka co do charakteru Strzeleckiego są zgodne zupełnie z odpowiedziami świadka poprzedniego.

Przew. Simonowicz. Jakiego wrażenia pan doznał wyczytawszy w dziennikach fakt aresztowania p. Strzeleckiego?

Św. Oburzenia, albowiem znałem go jako człowieka z charakterem i niezdolnym do czegoś podobnego.

Następnie zeznaje, że Strzel. radził się go, gdzie dać znać o wypadku, czy do sądu czy do prokuratorji?

Na indagację p. prokuratora odpowiada świadek, że słyszał od znajomych, jak to zresztą zeznał w śledztwie, iż był projekt oddania Strzeleckiego pod kuratelę. Również przypomina sobie, że u niego w biurze odezwał się ktoś: Strzelecki pożyczył ode mnie kilkanaście zł. i nie oddał.

P. obrońca dr. Dulęba zapytuje świadka o parę szczegółów, a między innemi zwraca uwagę jego, czy p. Strzel. radził się pana Rozwadowskiego w poniedziałek czy też we wtorek jak p. Str. twierdzi — w sprawie zawiadomienia władzy o wypadku.

Świadek sobie dobrze tego nie przypomina.

Na wezwanie p. Przewodniczącego, wchodzi na salę p. Głowacki (lat 21, porucznik rezerwowy przy 11 pułku ułanów). Świadka zaprzysięgają.

Pytania p. Przewodniczącego i odpowiedzi świadka są prawie zgodne z odpowiedziami poprzednich świadków.

Obrońca Dąbrowski zapytuje świadka, jaka była noc, kiedy wyjeżdżali z Bołszowa, czy była jasna czy ciemna?

Świadek odpowiada, że z początku było ciemno, później się rozjaśniło.

Obr. Dulęba. Jak długo trwała droga? Dlaczego pan twierdzi, że była godzina 12?

Św. Dlatego, że przy zbieraniu się do domu, mówiono ogólnie, że jest już po 12.

P. Stanisław Pieńczakowski wchodzi na salę, (lat 38, żonaty urzędnik banku kraj.) Następuje zaprzysiężenie świadka.

Św. zna Al. Strzeleckiego również od lat kilkunastu bardzo dobrze. O jego charaterze ma jak najlepsze wyobrażenie — serce miał jak najlepsze. (C. d. n.)

Kronika.

Lwów, dnia 17 stycznia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminie Ostrowczyk, w powiecie trembowelskim, na dokończenie budowy szkoły, zapomogę w kwocie 100 zł.

Wybór. Rada powiatowa jaworowska wybrała przy wyborze uzupełniającym z kurji większych posiadłości p. Aleksandra Szymanowskiego właściciela dóbr.

Mianowania. P. Henryk Bosowski mianowany został radzcą wyższego sądu krajowego w Krakowie.

Podziękowanie. Z Kijowca nam piszą: Za podarki noworoczne składające się przeważnie z ciepłej odzieży dla biednych uczniów i uczenic szkolnych nadesłane przez hr. Urszulę Golejewską, jako też za żywe zajęcie i zaopiekowanie się naszą szkółką, w imieniu dziatwy szkolnej zacnej tej Pani składam staropolskie: „Bóg zapłać!“

Stanisław Niżnik,
nauczyciel.

Sejm zostanie prawdopodobnie zamknięty dopiero z końcem przyszłego tygodnia, a to z powodu, że obrady nad sprawą propinacyjną przewlekły się znaczniej, niż przypuszczano pierwotnie.

Nekrolog. W Rudenku pod Łopatynem zmarła przedwczoraj dnia 15 b. m. ś. p. Felicja z Wasilewskich Boberska, znana w kraju całym z niespożytych zasług położonych około wychowania kilku pokoleń niewiast polskich na zacne żony, matki i obywatelki. To też żałobna ta wieść smutnem echem odbija się w setkach serc byłych uczennic ś. p. Felicji, która niezwykłą słodyczą i łagodnością charakteru, macierzyńskiem przywiązaniem, jakiem otaczała powierzone pieczy swej wychowanki, umiała pozyskać gorącą ich miłość tak, że i po opuszczeniu zakładu między nauczycielką a uczennicami serdeczny stosunek nie tylko, że pozostawał nieprzerwany ale byłe wychowanki zostawszy same żonami i matkami cześć i miłość dla tej, która w nie wpoiła wszystkie szlachetne poczucia obowiązków kobiety i obywatelki, przekazywały nawzajem swoim dzieciom i powierzały je opiece i wychowaniu ś p. Felicji, czem ścieśniał się i utrwalał węzeł wdzięczności i szacunku, przechodząc z pokolenia na pokolenie.

Ś. p. Felicja Boberska urodzona we Lwowie 20 czerwca 1825 r. była córką zasłużonego marszałka Tadeusza Wasilewskiego i Antoniny z Radwańskich. Dom rodziców jej we Lwowie był przez długie lata punktem zbornym całej inteligencji i wszystkich młodych w owym czasie ludzi, którzy na arenie politycznej pierwsze kroki swe stawiali a później wybitnie na niej się zasłużyli. Duch prawdziwie polski, był wybitną cechą domu marszałkowstwa Wasilewskich; gospodarz sam poważny umysłem i postacią nadawał podniosły ton zebraniom towarzyszkim u siebie i całemu otoczeniu. Dbały wielce o staranne wychowanie dzieci, kierował niem sam wpajając w nich wysoce obywatelskiego ducha swojego. To też nie dziw, że w takiem otoczeniu i pod takim kierunkiem młoda Felicja wcześnie już przejęła się wszystkiem co wzniosłe i szlachetne, ukochała gorąco Boga i Ojczyznę. Z zamiłowania w dziecinnych już latach otaczała się dziatwą wiejską ucząc ją historji polskiej i religji, a gdy po śmierci ojca stosunki majątkowe postawiły rodzinę w przykrem położeniu, ś. p. Felicja obrała sobie zawód nauczycielki za pole działalności, otworzyła we Lwowie zakład naukowy i w nim długie lata z poświęceniem i gorliwością pracując, zasłużyła się nietylko krajowi, ale całej Polsce.

Oprócz pracy nauczycielskiej oddawała się ś. p. Felicja i pracom literackim a w szczególności studjom nad historją i literaturą polską. W roku 1873 zaślubiła ś. p. Antoniego Boberskiego a później usunąwszy się w zacisze domowego życia, ostatnie lata oddała na usługi ciężko chorego męża z całym poświęceniem siostry miłosierdzia. Cześć zacnej niewieście, która zasługą własną najtrwalszy wzniosła dla siebie pomnik w wdzięcznej pamięci narodu.

Pierwsza próba oświetlenia elektrycznego izby deputowanych w Wiedniu, odbyła się wczoraj z zupełnem powodzeniem.

Prognoza. Obserwatorjum szkoły politechnicznej lwowskiej obiecuje nam na drugą połowę stycznia łagodniejszą temperaturę, zmniejszenie się mrozów, od 16 do 21 opady nieznaczne, powietrze mgliste, do 30 zaś opady znaczniejsze a mianowicie około 23 bm.

Promenade-koncert, po którym nastąpią tańce, odbędzie się w Kasynie miejskiem w sobotę 19 b. m.

Na ten wieczorek ustanowiony dla pań strój wieczorkowy, dla panów balowy. Początek o godzinie 8 wieczór. Lista otwarta. Bilety wydawane będą w sobotę do godziny 4 popołudniu.

Dalsze wieczorki z tańcami odbędą się w następujące soboty, a to: 26 bm., 16 lutego, 23 lutego i 2 marca b. r.

Koncesje na trzecią aptekę w Kołomyi nadało namiestnictwo p. Bronisławowi Witosławskiemu, dotychczasowemu dzierżawcy apteki w Brodach.

„Sybiracy“ i „Śmierć wygnanki“, obrazy Jacka Malczewskiego, wysłane zostały z Wiednia na wystawę do Gracu a następnie wystawione będą w Towarzystwie sztuk pięknych w Budapeszcie:

W Czytelni dla kobiet odbędzie się w piętek 18 b. m. pogadanka dr. Emila Dunikowskiego, profesora uniwersytetu, o „o szlachetnych kamieniach“ (z demonstracjami).

Z kolei Karola Ludwika donoszą: Wskutek gwałtownego usunięcia się śniegu w przekopie Płuchowskim zasypane zostały dnia wczorajszego po południu tory kolejowe tak silnie, że pociąg kurjerski Nr. 1 zatrzymać się musiał przez całą noc w Złoczowie — pociąg zaś mięszany Nr. 12 w Zborowie.

Skutkiem energicznej pracy nad usunięciem tej przeszkody już dziś rano mógł się znowu odbywać ruch normalny pociągów.

Zmarli. W Strusowie, ks. Mikołaj Latorowski paroch miejscowy w 87 roku życia a 50 kapłaństwa.

Leon Jägermann, syn profesora, zmarł we Lwowie przeżywszy lat 17.

Aresztowanie. W Wiedniu uwięziono przed kilku dniami b. inspektora asekuracyjnego, Leona Wodzińskiego, ściganego listami gończemi za oszustwo przez sąd kraj. lwowski. Wodziński liczy lat 36 i zajmował się ostatniemi czasami pośrednictwem w sprzedaży obrazów.

Roboty około wieży Eiffel postępują jak opisuje paryzki *Figaro* — pomimo wielkiego zimna, jakie obecnie panuje, raźnie i w następującym porządku. Robota rozpoczyna się zawsze o godzinie szóstej z rana. Robotnicy zbierają się wszyscy razem na pierwszej platformie u stóp wieży i ztamtąd po 960 schodach wychodzą na drugą platformę znajdującą się już na wysokości 115 metrów od ziemi a wędrówka ta trwa cały kwandrans. Tam zostaje około 50 robotników zajętych wykończeniem galerji i pawilionu franko-amerykańskiego, w którem mieścić się będzie jedna z czterech restauracji jakie na wieży Eiffel urządzone będą. W każdej z nich jest miejsce na 350 stolików, przy których po dwie osób siedzieć może. Na tej samej platformie znajduje się, toraz kantyna dla robotników, w niej po przystępnej cenie jedzenie i trunki, ażeby nie potrzebowali tracić czas i trudzić się złażeniem i wychodzeniem napowrót. Druga część robotników zajętych już w 220 metrze wysokości składa się z samych starych, wypróbowanych robotników w fabryce Eiffla, wytrzymałych na wszelkie wpływy powietrza i wolnych od zawrotu głowy w tej szalonej wysokości. Tam mają pod ręką przenośne kuźnie i w nich obrabiają rozpalone do białości gwoździe i inne potrzebne części żelaza a wytężenie z jakim pracować tam muszą, nie daje im nawet czuć zimna, które w tej wysokości jeszcze dotkliwsze jest. Ogromne, ciężkie żelazne części, z których składa się wieża, windowane są do góry za pomocą przyrządu poruszanego parową maszyną, funkcjonującą dzień i noc.

Teatr. Dziś „Nanon“, operetka w 3 aktach. Jutro: „Koniki polne.“

Korespondencja od Administracji. *Przew. X. Fr. w Czerniowcach.* Według przepisów pocztowych należy się listonoszowi pół centa za donoszenie gazet do domu. Kto sobie nie życzy opłacać tego pół centa, obowiązany jest zapłacić 50 ct. miesięcznie za tak zwany „fach“ czyli przegródkę, w której gazety będą mu składane na poczcie aż do osobistego zgłoszenia się adresata po nie.

WP. Er. Klokiert w Ożydowie. Nr. 15 *Przeglądu* dopiero właśnie jest dzisiejszy; tymczasem WPani go reklamuje na dwa dni naprzód. Zapewne więc to nie numeru 15 Pani potrzebuje, ale któregoś innego. Proszę wymienić dokładnie, a przyszlemy.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** (*„Koniki polne“*, komedja w 3 aktach Adolfa Walewskiego).

Utwor sceniczny p. Walewskiego — artysty naszej sceny, który wczoraj po raz trzeci już wystąpił z pracą oryginalną na niwie dramatycznej przed sądem szerszej publiczności, odznacza się niewątpliwie wielkiemi zaletami, tak pod względem założenia, to jest myśli przewodniej jak i pod względem opracowania i niewątpliwie też cieszyć się powinien powodzeniem, na jakie zasługuje, zwłaszcza, jeśli pewne usterki, pod względem literackiego obrobienia rzeczy, usunięte z niego zostaną. W ten sposób zdaje nam się najlepiej określimy wrażenie i sąd ogólny o sztuce wczoraj przedstawionej, z którą jednak byłby kłopot wielki, gdyby przyszło ocenić, do jakiego właściwie rodzaju sztuk należy. Ma ona pod względem tendencji zakrój poważny, sięga w sferę komedji wyższej, społecznej, w obrobieniu jednak samem obraca się niemal ciągle na poziomie farsy i na farsie właściwą przesadę w charakterystyce osób, w sytuacjach a nawet w wielu zbyt przesolonych konceptach. Uczuwać się w niej daje pewien zbyt drastyczny rozdzwiek między poważną stroną samej kwestji a nader ostrem zamarkowaniem śmiesznostek u ludzi, którzy w grę wchodzą, przyczem żywioły poważne, dodatnie, reprezentujące ideę właściwą autora i zwycięską w końcu, występują w ciągu całej sztuki jakby w półcieniu, zaledwie są zaznaczone. Jestto rozdzwięk rzeczywiście dla sztuki samej bardzo niekorzystny, ale ostatecznie nie do usunięcia; zdolne pióro literackie potrafiłoby z łatwością zatrzeć go i tem samem z rzeczy p. Walewskiego wyrobić jeżeli nie skończoną to w każdym razie bardzo dobrą komedję.

„Konikami polnymi“ nazywa autor ludzi z naszych sfer mieszczańskich, żyjących z dnia na dzień w lekkomyślnem używaniu dochodów chwili, nie pamiętających o jutrze. Przedstawia nam panią Fruwalską, wdowę po fabrykancie kapeluszy, mającą pretensję należenia do „eleganckiego“ świata, pragnącą wydać córkę za mecenasa, bawiącą się zresztą w wielką panią. Synalek jej który niby prowadzi fabrykę, bawi się i hula z paniczykami miejskimi. Towarzystwo z którem pani Fruwalska żyje, to jakaś pani Kołdrasińska, która syna swego kieruje na śpiewaka europejskiej sławy i pani Fąferkowa, radaby w córce widzieć pierwszorzędną aktorkę. W wesołem życiu, zapełnionem zwiedzaniem teatrów, balów, koncertów, odczytów i t. d. czas płynie rozkosznie, a fabryka podupada. Ostatecznie nadchodzi widmo ruiny. Mecenas starający się o rękę córki fabrykantowej w nadziei uzyskania choćby niewielkiego posagu, wycofuje się w chwili, gdy sprawdził że około Fruwalskich źle, a z fatalnego położenia ratuje rodzinę poczciwy Marcinkiewicz pierwszy robotnik w fabryce, który w skrytości swego serca ubóstwia Stasię — i jej wzajemną choć niewypowiedzianą posiada miłość. Rzecz kończy się pomyślnie zwłaszcza, że wyborna babcia Krystyna energicznie wyrzuca mecenasa, łowcę posagowego z domu Fruwalskich i zmusza oboje kochających się, Stasię i Marcinkiewicza, do wyznania sobie wzajemnej miłości.

W ramach powyższej fabuły rozsnuł autor cały szereg scen, bądź charakterystycznych i zupełnie udatnych, bądź też tylko jedynie na efekt komiczny obliczonych i nie stanowiących z rzeczą samą organicznej całości. Wyborne są n. p. te sceny w których odmalowana jest kochana babcia Krystyna, zapatrująca się trzeźwo na rzeczy a mająca tylko jedną słabość t. j. do loterji, i tę *idée fixe*, że jak tylko wygra, to każdemu da po pięć tysięcy. Zupełnie też powiodła się autorowi charakterystyka pani Fruwalskiej i jej syna Antosia. Poczciwy Marcinkiewicz, jakkolwiek tylko zarysowany, także nie źle trafiony, a i figura „Mecenasa“ w myśl niewyraźnej roli, jaką mu autor przeznaczył do odegrania, naszkicowaną jest w ogóle dość zręcznie. Reszta figur, gwoli jak zaznaczyliśmy komizmu, jest obrobioną w sposób co do charakterystyki mocno przesadzony, wychodzący po za ramy komedji a sięgający w dziedzinę farsy, do której należą także pewne koncepta jak n. p. o „rozdmuchaniu iskry bożej“ o wyrobieniu *Tiefy* (dołu u śpiewaka) itd.

Rzecz grana była z dobrem zacięciem, szczególnie zaś powiodło się pani Gostyńskiej oddać babcię Krystynę, a p. Cichockiej Fruwalską.

Publiczność wywołała autora po drugim i trzecim akcie darząc go ciepłemi oklaskami. (*r.*)

* **Opera.** Wtorkowe przedstawienie Aidy należało do najudatniejszych w bieżącym sezonie operowym. Aidę śpiewała panna Pawlikówna z powodzeniem nadzwyczajnem u debiutantki stawiającej pierwsze kroki w zawodzie scenicznym. Ogromny też sukces odniosła panna Hellerówna jako Amneris. Śpiew i gra wyborna złożyły się na kreacją, z którą młoda śpiewaczka na każdej pierwszorzędnej nawet scenie śmiało wystąpić może. Nadspodziewanie dobrym Radamesem był p. Santinelli, widocznie dysponowany i partji zupełnie pewny. Ramfisa śpiewał jak zawsze p. Jeromin czysto i szlachetnie. Wogóle całość powiodła się jak najzupełniej.

SEJM.

(XXXIII posiedzenie z 17 stycznia 1889.)

Początek o godz. 11 m. 40.

P. Hausner otrzymał urlop na 1 dzień.

Sekretarz p. A. Jędrzejowicz odczytuje dalsze petycje, których spis następujący:

Zarząd kółka rolniczego w Tarnopolu o założenie w Tarnopolu niższej szkoły rolniczej. Karolina Krasicka, Piotr Koczyndyk i Paulina Kownacka o zapomogi. Walenty Kański nauczyciel w sprawie przemysłu tkackiego. Wiktor Legieżyński, słuchacz medycyny o zapomogę.

Z porządku dziennego odesłano w pierwszem czytaniu sprawozdanie Wydziału krajowego o uzupełnieniu obwałowania Wisły i Sanu w powiecie Tarnobrzeskim do komisji gospodarstwa krajowego.

P. Czartoryski referował imieniem komisji szkolnej o wniesionym przez c. k. rząd projekcie ustawy o wynagrodzenie za udzielanie nauki religji w publicznych szkołach ludowych, przedkładając do uchwalenia odnośną ustawę. Celem tej ustawy jest zapewnić katechetom słuszne i stałe wynagrodzenie, a przez to przyczynić się do zapewnienia wyższym klasom szkoły ludowej stałej i skutecznej nauki religji. Przystąpiono tedy do zmiany niektórych postanowień ustawy z dnia 20 czerwca 1872, a to w tym kierunku, aby odtąd wszelkie pobory i remuneracje, przyznane lub przyznać się mające, za udzielanie nauki religji w wyższych klasach szkoły ludowej, pokrywane były z funduszów szkolnych. Wprawdzie takie postanowienie sprzeczne jest z ustawą zasadniczą, pomimo to jednak zmiana ta, ze względów praktycznych, nietylko została przez c. k. rząd w Radzie państwa wniesioną, ale i przez Radę państwa przyjętą, przez kilka Sejmów nareszcie szczegółowo unormowaną.

Nowa ustawa państwowa z dnia 17 czerwca 1888 (Dz. u. p. Nr. 99), zmieniając §§. 3 i 5 ust. z dn. 20 czerwca 1872, postanawia, że koszta urosłe z powodu udzielania nauki religji w wyższych klasach szkoły ludowej należą do budżetu („zum Aufwande“) dotyczących szkół, a dalej, że unormowanie dotyczących poborów i remuneracyj, bliższe oznaczenie warunków przyznawania tych płac i uregulowanie wynagrodzenia za podwody zastrzeżone zostają ustawodawstwu krajowemu.

Po uchwaleniu tej ustawy w Radzie państwa przedłożył c. k. rząd Sejmom, a także Sejmowi naszemu projekt do ustawy krajowej.

Komisja po wyczerpujących rozprawach przyjęła główne myśli w rządowem przedłożeniu zawarte, czyniąc w niem tyl o takie zmiany, które zdaniem jej myśli te wyraźniej uwydatniają i treściwiej wyrażają.

Jedyna ważniejsza różnica między projektem komisji a projektem rządu jest następująca: projekt rządowy ustanawia trzy kategorje nauczycieli religji: 1. osobnych nauczycieli ze stałą płacą; 2. takich samych z remuneracją; 3. duszpasterzy lub świeckich nauczycieli religji z remuneracją. Komisja sądziła, że druga kategorja nie ma racji bytu, gdyż albo znajdzie się osobny nauczyciel religji, katecheta ad hoc ustanowiony, a wtedy niech będzie nauczycielem etatowym ze stałymi poborami i połączonemi z tem korzyściami i obowiązkami, albo nauka religji udzielaną będzie, jak to najczęściej bywa obecnie, przez miejscowego duszpasterza, a wtenczas jako nauczycielowi nie etatowemu należeć mu się będzie remuneracja, pod warunkami, o których później będzie mowa. Podział ten na dwie kategorje odpowiada zresztą ściśle postanowieniom nowej ustawy państwowej, gdzie powiedziane jest, że ma być albo przyznana remuneracja, albo ustanowiony osobny nauczyciel.

Inne zmiany są mniejszej wagi.

Komisja wnosi tedy na uchwalenie przedłożonej przez nią ustawy.

W sprawie ogólnej upomniał się p. hr. Lasocki o wynagrodzenie dla tych katechetów, którzy w kilku szkołach w parafji udzielają naukę religji — a szkoły te są niższe niż czteroklasowe. Ustawa nie postanawia dla tych nauczycieli żadnego wynagrodzenia, co jest niesprawiedliwem, bo praca ich obok zajęć duszpasterskich, jest ciężką i wielką. Krytykuje dalej § 3 projektu, gdzie powiedziano, iż nauczycielami religji mogą być tylko te osoby, które wyznaniowa ich władza zwierzchnicza uzna za uzdolnione. Mówca twierdzi, że w obec takiego postanowienia, będzie chyba minister oświecenia wydawał kwalifikacje uzdolnienia dla księży do nauki religji. Wyrażenie więc „wyznaniowa władza zwierzchnicza“ uważa mówca za niewłaściwe. Tak samo krytykuje wyrażenie „należycie ordynowani świeccy księża“ nienależycie ordynowanych bowiem księży nie ma.

I tak kolejno krytykuje mówca poszczególne postanowienia ustawy tak pod względem stylistycznym jak i rzeczowym i zgłasza liczne poprawki.

P. ks. Kupyciński przyznając słuszność kilku uwagom przez poprzedniego mówcę, przytoczonym oświadcza jednak, iż będzie popierał wnioski komisji. Następnie w dłuższym wywodzie podaje historyczny przebieg walki państwa z Kościołem o wpływ na szkoły, schodząc do ustawy r. 1868, którą proklamowaną została niezawisłość szkoły od Kościoła. W końcu przypomina, jakie stanowisko zajmował Sejm w obec tej sprawy i wyraża wdzięczność komisji za przedłożenie projektu.

Godzina 1 min. 40 posiedzenie trwa dalej.

Następne posiedzenie odbędzie się dopiero w poniedziałek dla tego, ażeby komisja propinacyjna miała dość czasu do swojej pracy.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 15 stycznia.

Doniosłe powiększenie się obrotowej gotówki i wpływ pokojowej mowy tronowej cesarza Wilhelma umożliwiły dalszy rozwój kursów w operacjach dzisiejszych. Szła przeto żwawo dalsza repryza, a w skutek niej znów podniosły się dziś notowania akcyj bankowych, między któremi pozostały w tyle jedynie länderbanki, z powodu pogłosek o znacznych upadłościach serbskich przedsiębiorstw, które rzekomo miał popierać swojemi funduszami Länderbank. Pomimo zaprzeczenia tym pogłoskom i wbrew ogólnej repryzie, nie zdołały akcje Banku dla krajów koronnych odzyskać kursu wczorajszego.

Renty z wyjątkiem złotej węgierskiej poszły znów w górę, dewizy i waluty chyliły się do spadku.

Ostatecznie notowano:

Kred. austr.	312·30,	
„ węgier.		313·50,
anglobanki	123·75,	
uniony		220.75,
bankvereiny	106·50,	
länderbanki		225·50,
ludwiki	206·25,	
czerniowieckie		221·25,
renta pap.	82·35,	
„ srebrna		83·05,
austr. złota	111·65,	
„ papier.		97·95,
węg. złota	101·55,	
„ papierowa		93.75.
Ruble	$1·27^3/_4$.	

Ostatnie wiadomości.

Dowiadujemy się w tej chwili, iż poseł Hausner i hr. Artur Potocki, zastrzegli sobie w podkomisji propinacyjnej możność wystąpienia z wnioskiem mniejszości, lecz w każdym razie wniosek ten, jeżeli postawiony zostanie, nie będzie tej osnowy, ani treści, jakie w *Dzienniku Polskim* ogłoszone zostały.

Telegramy „Przeglądu“.

Berlin 17 stycznia. Na porządku dziennym jutrzejszego posiedzenia Rady Związkowej znajduje się przedłożenie o postępowaniu sądowem przeciw Geffckenowi. Ogłoszenie tego przedłożenia nastąpiło na rozkaz cesarza w skutek sprawozdania kanclerza z 13 b. m. Przedłożenie zawiera dalej postanowienie sądu dotyczące oskarżenia wraz z zeznaniami świadków. Przedłożenie o polityce kolonialnej nie stoi jeszcze na porządku dziennym jutrzejszego posiedzenia Rady Związkowej.

Londyn 17 stycznia. „Biuro Reutera“ otrzymało treść listu Stanleya z 17 sierpnia z Bonalaja do Tippotipa pisanego, w którym zapowiada przybycie Emina z dwiestu ludźmi do Bonalaja. Donosi, że zostawił Emina, który zarówno jak i Casati w zupełnie dobrem zdrowiu się znajdował, przed 82 dniami koło jeziora Nyanza. W ciągu całej wyprawy utracił tylko trzech ludzi. Udaje się 28 sierpnia przez Zambagę z powrotem do Sudanu do Emina.

Budapeszt 17 stycznia. Posłowie stronnictwa liberalnego z wyjątkiem posła Horwatha postanowili jednogłośnie przyjąć paragraf 14 nowelli do ustawy wojskowej, wyrażając rządowi bezwarunkowe zaufanie. Przyjmują wskazówki ministra prezydenta dotyczące zmian w ustawie z roku 1868 i zgadzają się na to, że interpretacja paragrafu 14 ma być wpisana do protokołu Izby. Horwath zaś oświadcza, że jeżeli w ustawie nie będzie jasno wyrażonej klauzuli, będzie głosować przeciw ustawie. Tisza oświadcza stanowczo, że rząd zamierza ustąpić, jeżeli paragraf ten nie zostanie w całości przyjęty, pozostawia jednak wolność zdania członkom stronnictwa.

Zanzibar 17 stycznia. Powstańcy napadli 13 b. m. na stacje misyj katolickich koło Pubu. Zamordowali dwóch misjonarzy i jednę zakonnicę, a trzech i jednę zakonnicę uprowadzili w niewolę. Jeden z braciszków uratował się ucieczką.

Berlin 17 stycznia. Posłowie wybrali powtórnie dawniejsze prezydjum Izby. Minister finansów przedłożył etat budżetu. W mowie swej przedstawił położenie finansowe państwa na rok 1889, o 62 miljony korzystniejsze. Zwyżka 36 miljonów z roku ubiegłego obróconą zostanie na umorzenie nadzwyczajnych długów państwa.

Reichsanzeiger ogłasza akta, dotyczące procesu Geffckena.

Wiedeń 17 stycznia. *Fremdenblatt* powiada, że według informacyj autentycznych zmyśloną jest wiadomość podana przez wiedeńskiego korespondenta w *Nowem Wremieniu* jakoby Austrja zamierzała cały sandżak nowobazarski okupować, i że wszystkie inne będące z tem w związku wieści są również zupełnie bezpodstawne.

Moskwa 17 stycznia. Książę Dołgorukow udał się wczoraj z powrotem do Teheranu.

Petersburg 17 stycznia. *Grażdan'n* donosi, że cesarz niemiecki udzielił swojemu rosyjskiemu pułkowi piechoty wstęgi do chorągwi, które pułkownik Villaume (wojskowy attaché przy ambasadzie niemieckiej w Petersburgu) uroczyście wręczy.

Grażdanin widzi w tem dowód przyjaźnych stosunków obu armji.

Konstantynopol 17 stycznia. Bułgarskie władze robią podróżnym przybywającym z Turcji trudności paszportowe. Wczoraj musieli niektórzy podróżni do Turcji wracać.

Petersburg 17 stycznia. *Journal de St. Petersbourg* zamieszcza podłoskę, iż w krótkim czasie stopa dyskontu i lombardu w rosyjskim banku państwowym zniżona zostanie.

Przyjechali do Lwowa

17 stycznia 1889.

Hotel Europejski: J. Kopczyński z Podola. C. W. Stölzel z Hamburga. H. Strizower z Jarosławia. B. Topolnicki z Chyrowa. T. hr. Komorowska z Bilinki. A. Ormodi z Węgier. Dr. J. Hecht z Wiednia. M. Węgrzynowicz z Wyżnicy.

Hotel Angielski: Z. Ladomirski z Markowiec. S Rulikowski z Królestwa. K. hr. Komorowski z S. Wiszni. E. Rylski z Czarnołoziec. E. Milowicz z Wołynia.

— *Hotel Langa*: J. Noworyta z Doliny. S. Unger z Wiednia. W. Słotwiński z Haidowa. St. Chmurowicz z Zarzyszcza.

Z zbożowych targów.

17 stycznia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6·40—7 30	6.25—7.20	6 10—7.10	6·85—7.40
Żyto	5.30—5.7	5.10—5.35	5.10—5.50	4.70—5.15
Jęczmień	5.50—7.—	5.50—6 50	5.20—6.50	5.——6.75
Owies	5.50—6.—	5 25—5 85	5.16—5.75	5.——5.50
Groch	6 50 10.—	6 — 10 —	6.— 10.—	4.40 9.—
Wyka	5.25 5 75	5 —— 5 60	5.——5.50	4.10—4,80
Rzepak	13.—13 60	12 80 13 40	12.70 13·40	10.—11.15
Lnianka	—.—.—	—.—.—	—.—.—	—.—.—
Konic. czer.	50.—60 —	48 —59 —	48.—.50—	55.—43.—
Konic. biała	45.—56 —	45 —56 —	45.—55.—	31.—35 -
Konic. szwed	—.—	—.—.—	—.—.—	—.— 20 30

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 17. grudnia godz. 1. min. 45

Akcje kredyt.	311·50	Węg. kolej półn. wschodn.	178·—
Alpiny	47·20	Wiedeńskie losy kom.	142·—
Kredyty węg.	312·50	Akcje tyton.	111·50
Anglobanki	127·—	Gal. obl. indem.	104·50
Uniony	222.25	Elbethale	198·50
Ludwiki	207·—	Länderbanki	226·—
Nordbahny	250 50	Renta zł. węg	101·25
Lombardy	101·50	Bankvereiny	107·80
Losy tureckie	22·50	Renta węg. p. p.	93·35
Staatsbahny	256 50	Ruble	$1·28^1/_2$
Czerniowieckie	221·—		

Usposobienie zgnębione.

Lwów. Z Izdy handlowej 17 stycznia 1889.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy	płacą	żądają
Kolej galic. Kar Lud 200 zł m k.	205 75	209 —
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł w. a	219 —	222 50
Banku hip. galic. 200 zł. w a.	284 —	288 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w a.	— —	216 —
2 Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n	99 90	101 —
6% Listy zastw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103 15	104 15
Banku krajowego $4^1/_2$% w. a.	95 50	96 50
Tow kred galic. 5 „ „ „	102 —	103 —
„ „ „ 5 „ „ „	96 —	97 —
„ „ „ 4 „ „ „	102 —	103 —
„ „ „ 5 „ „ „	92 60	93 60
„ „ „ $4^1/_2$% „ „	97 15	98 15
„ „ „ 4% „ „	91 50	92 50
3 Listy dłużne za 100 złr.		
G Z. kr. wł. d) 6%) 3% w likw.	— —	57 50
„ „ „ „ (d) 5%) $2^1/_2$% „	— —	48 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 80	104 90
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc w. a.	103 25	105 —
„ „ „ 1883 $4^1/_2$% „	94 25	95 25
5. Losy		
Losy miasta Krakowa	21 50	23 50
„ „ Stanisławowa	33 —	35 —
6 Monety.		
Dukat holenderski	5.63	5.73
Dukat cesarski	5.66	5.76
Napoleondor	9.52	9.62
Półimperjał rosyjski	9 86	9.96
Rubel rosyjski srebrny	1·36	1·48
„ „ papierowy	$1·27^1/_2$	$1·29^1/_2$
100 marek niemieckich	58 85	59·85

C. k. jen. Dyrekcja kolei państwowych.

Wyciąg z rozkładu jazdy

ważnego od 1 października 1888.

Przybywają do Lwowa:

1. godz. 15 m. w nocy, z Budapesztu, Ławocznego. Stryja, Krosna, Chyrowa, Husiatyna. Stanisławowa, Stryja

8. godz. 6 m. zrana, z Suchej, Chyrowa i Stryja.

8 godz. 20 m. popołudniu, z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja.

7 godz. 40 m. wieczór, z Husiatyna.

Wyjeżdżają ze Lwowa:

5 godz. zrana, do Stryja, Ławocznego, Budapesztu Chyrowa, Stróża.

10 godz 15 m. zrana do: Stryja, Stanisławowa Husiatyna, Chyrowa, Suchej.

7. godz. 50 m. wieczorem do Chyrowa, Suchej.

9. godz. 48 m. wieczorem do Stanisławowa Husiatyna

8)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

Oczy małe lecz bardzo żywe, miały wyraz jowialny, nie godzący się z resztą tej złowrogiej fizjonomji.

— Więc znasz moje przezwisko! — rzekł człowiek, którego słyszeliśmy nazwanego Croquemagot.

— Jak widzicie.

— A jednak ja was nie znam.

— Nie znaliście mnie przed chwilą — ale znacie mnie teraz.

— Jak się nazywasz?

— Cocodrille, na wasze usługi...

— W czyjem imieniu przychodzisz?

— W imieniu kogoś, którego wyjątkowo szanujesz, — w imieniu „Amerykanina".

Wyraz nieufności na twarzy ojca Croquemagot zniknął jakby pod wpływem czarów, a na jego miejsce zarysował się nadzwyczaj uprzejmy uśmiech.

— Ah! — rzekł, — więc znasz Amerykanina?...

— Jesteśmy obaj, on i ja, dwaj przyjaciele, — dwa palce u jednej ręki, — dwie pestki winogrona, — dwa garby wielbłąda, dwie zwrotki piosnki...

— Jest to jeden z dobrych, ten Amerykanin!... sławny!... silny!...

— Prawdziwy Morski Królik, ojcze Croquemagot!...

— A więc ponieważ przychodzisz w jego imieniu... witam cię serdecznie...

— Tegom się spodziewał...

— Usiądź tu.

— Niepotrzeba, nogi są zdrowe...

— Zapal fajkę.

— Nałożę moję.

— Napijesz się czego?

— Z przyjemnością.

— Co wolisz wina, czy wódki?

— Co tylko masz najpieprzniejszego...

— Pan jest usłużony.

— Dziękuję!

Fałszywy majtek, odpowiadający na piękne nazwisko Cocodrilla, zbliżył do ust i jednym tchem wychylił kubek napełniony wódką po brzegi.

— Poczem mlasnął językiem z miną żywego zadowolnienia i zawołał:

— Ah! do stu djabłów! także mi mów!!... w podniebieniu, jakby sto szpilek, a w żołądku aksamit... Ojcze Croquemagot, powtórzę na twoje zdrowie i waszej zacnej małżonki...

Wychylił nowy kubek z równie przyjemnem jak pierwsze uczuciem.

— Teraz, — rzekł ocierając usta rękawem i przybierając poważną minę, — teraz będziemy mówić o interesie...

— Czyż by było coś w powietrzu? zapytał szynkarz.

— Do licha! spodziewam się, że jest i to nie bagatela!...

— I cóż takiego?

— Koleżeński żarcik — poprostu mała grzeczność dla nadzorców galer...

— Ucieczka!! — zawołał Croquemagot z miną pomieszaną.

— Więcej aniżeli to.

— Dwie ucieczki!!

— Dalekim jesteś od prawdziwego rachunku!... alarmowe działo, niedługo da pięć strzałów. — Nie mniej ni więcej!...

— Gwałtu!! — zawołał szynkarz, — pięciu zbiegłych!! Nieszczęśliwi!! — z tą ich manią uciekania, skończą na tem, że mnie skompromitują!! — Wiem niewątpliwie, że już od dawna policja niedowierza „Morskiemu Królikowi...

— Ah ba! cóż chcesz?... jesteś notarjuszem, bankierem i oberżystą galerników! — masz z tego zyski... słusznem jest abyś ponosił także i ciężary... — Zresztą już czas — przygotuj klatkę, — ptaszki wkrótce przyfruną.

Croquemagot głębokie wydał westchnienie.

— Chodźmy, — rzekł, — ponieważ tak trzeba, pomożesz mi...

I w towarzystwie nowoprzybyłego przeszli do sąsiedniej izby.

V.

REWIZJA.

Croquemagot i Cocodrille pozostawali przez dziesięć minut w ciemnej izbie znajdującej się obok głównej sali szynkowni; praca której się oddawali, zależała poprostu na przeniesieniu w inne miejsce pęków chróstu leżących przy ścianie w pośrodku izby i ułożenia ich w innem.

Skończywszy tę robotę, dwaj ludzie powrócili do sali. — Cocodrille nalał sobie trzeci kubek wódki, a Croquemagot otworzył na rozcież drzwi wychodzące na małe podwórze koło drogi.

Zacząwszy od tej chwili, szyld „Morskiego Królika" stał się na piękne, rzeczywistością. — Dom tak starannie zamknięty i tak niedostępny, odzyskał swój tytuł szynkowni. — Według nęcących obietnic wypisanych czerwonemi literami na blasze, ofiarował rzeki wybornego wina, starej wódki i piwa marcowego ekstra-musującego!...

Szynkarka, jako zacna gospodyni, zabrała się z chwalebną pilnością do szumowania zupy gotującej się w kotle. — Croquemagot i Cocodrille, usiedli jeden naprzeciw drugiego, — nałożyli fajki i rozmawiali o różnych rzeczach, tonem budującej zgody i serdeczności.

Godzina upłynęła. — Zegary dzwonnic Tulonu zabierały się wybić dwunastą.

Nagle strzał padł jak piorun, tak iż szyby okien szynkowni zadrżały w swej ołowianej oprawie.

Było to pierwsze uderzenie alarmowego działa.

Ah! ah!! — rzekł Cocodrille — uwaga!! — Raz!

Drugi strzał dał się słyszeć.

— Dwa! — mruknął Croquemagot.

— Trzy!

— Cztery!

— Pięć — zawołali kolejno obaj bandyci.

— Interes udał się niewątpliwie — dodał Cocodrille. — Nigdy o tem nie wątpiłem... — Rzecz cała zbyt dobrze była ułożona aby się miała nie powieść... Koledzy muszą już teraz być niedaleko stąd... Zapewne już byli na brzegu, kiedy o ucieczce się dowiedziano. — Powiedz no ojcze, jak się tam naszym ma, czy wiesz, że to dość zuchwale: — pięciu zbiegów przechodzących przez port i miasto z laskami w ręku, w samo południe!! — Myślę, że o tem długo mówić będą...

Szynkarz opuścił głowę na piersi i zdawał się bardzo wzruszony, prawie drżący.

— Ah! do trzykroć stotysięcy djabłów! — zakrzyknął Cocodrille — niemniej że takiej miny zmokłej kury, mój kolego!! — Aby sobie dodać odwagi pomyśl tylko o pięknych zyskach, które wpadną ci do kieszeni!! — Możesz być pewny, że będą nie małe!...

Skutek tych słów był natychmiastowy... — niepewny uśmiech, ukazał się na ustach ojca Croquemagot.

* * *

Podczas gdy w szynkowni pod „Morskim Królikiem miał miejsce powyższy djalog, dziesięciu majtków, chałasując straszliwie, śpiewając i wybuchając głośnym śmiechem, szło drogą przedmieścia i kierowali ku wsi, a tem samem ku gościnnemu domowi ojca Croquemagot.

Majtkowie, których zapewne więcej aniżeli wypada bawili się butelką, tworzyli dwie bandy, po pięciu każda w pewnej od siebie odległości, i zajmowali całą szerokość ulicy, pięciu bowiem z każdej bandy trzymało się pod ręce i szło frontem drowna szeregami.

Idąc śpiewali chórem na cały głos z odurzającym zapałem pieśni dobrze znane w morskich portach i których zwrotki skompanowane były tak przerażającemi wrzaskami, że od nich głusi by zadrżeli a zmarli przebudzili się w mogiłach.

Nieliczni mieszkańcy przedmieścia, którzy nie poszli do Tulunu, wychodzili przed progi swych domów, aby przyjrzeć się przechodzącym hałaśliwym majtkom; — wesołość ich zresztą była całkiem nieszkodliwą, gdyż nie tylko ci uczciwi marynarze nie znieważali nikogo, ale nawet nie pozwalali sobie najmniejszego żarciku z ładnemi tulonkami, które spotykali po drodze.

A jednakże przypatrując się uważniej tym dziesięciu zuchom, trudno by podejrzywać ich o podobną wstrzemięźliwość. — Wcale bowiem nie odznaczali się powierzchownością, ci wrzaśliwi majtkowie, zdający się należeć raczej do załogi pirackiego okrętu, aniżeli okrętu wojennego lub kupieckiego statku.

Długie brody różnokolorowe, godne saperów lub baszów, okalały twarze dzikie i fizjonomje burzliwe. — Gorące przytem kolory pijaństwa nie oświecały bladych ich twarzy. Wyraz oczu zdawał się zadawać kłamstwo gorączkowej egzaltacji głosu i śpiewów.

Obserwator może by to zauważył, — lecz nie wszyscy są obserwatorami — i każdy zresztą wie, że marynarza nie można sądzić po powierzchowności. — Stary majtek z pokiereszowaną twarzą, okryty medalami i dekoracjami, podobny często bywa w uderzający sposób do bandyty z melodramatu.

W chwili kiedy pierwsza z dwóch band ujrzała zdala szyld ojca Croquemagot, śpiewacy nowe zadali wysilenie swym płucom i głosy ich grzmiały jak dzwony katedry.

Na ogłuszający hałas tych wrzasków dochodzących do szynkowni: —

— Otóż oni... — rzekł Cocodrille do szynkarza — to oni z pewnością...

— Oni! — powtórzył Croquemagot, jakby oszołomiony. — Gwałtu!! co za hałas!... Jak to być może, że nie zaaresztowali ich dwudziestu razy podczas drogi!!...

— Właśnie dlatego, że hałasowali nie zostali aresztowani! — Nikt na nich nie zwracał uwagi, a wiesz dla czego, ojcze Croquemagot?... a to dla tego, że wyglądają właśnie tak jak gdyby chcieli zwrócić na siebie uwagę całego świata... Rozumiesz teraz?

Croquemagot nic na to nie odpowiedział.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Bodak.